DWUTYGODNIK POLITYCZNY

RZECZPOSPOLITA

Nr. 120.] SOBOTA 16 MAJA 1914. [Rocznie........ 10 K (4 Rb., 8 Mk.). [Półrocznie... 5 K (2 Rb.. 4 Mk.). Cena egz. pojedyńcz. 50 h.

Stronnictwo ludowe w Galicyi.

Najdonioślejszem niewątpliwie zdarzeniem w rozwoju ruchu ludowego w zaborze austryackim w ostatnim okresie było obalenie rządów p. Stapińskiego w polskiem stronnictwie ludowem na tle bardzo stanowczego dążenia do oczyszczenia polityki stronnictwa z brudów, w których pogrążał ją dawny przewódca. Doniosłość tego przełomu wynika z rozmiaru wpływów, jakie ma stronnictwo ludowe na wsi, mianowicie w zachodniej części kraju, objętej jego działaniem. W wyborach powszechnych do Rady Państwa z r. 1911 z ogólnej liczby 34 mandatów przypadających na 2-mandatowe okręgi wiejskie zachodnie zdobyło stronnictwo ludowe 24, a z ogólnej liczby 315 tys. głosów oddanych w tych okręgach padło na kandydatów stronnictwa 158 tys., czyli okrągło 50%. Ten stan rzeczy sprawia, że głębsze zmiany w łonie stronnictwa ludowego, a szczególnie zmiany tak przełomowe, jak te, które zaszły w ostatnich miesiącach, muszą mieć duże znaczenie ogólno-krajowe.

Wynikiem starcia w łonie stronnictwa był rozłam.

P. Stapiński, po zjeździe rzeszowskim z d. 13 grudnia 1913, na którym zarówno w oskarżeniach podniesionych przeciw niemu przez pp. Długosza, Kędziora i Witosa, jakoteż we własnych jego wyznaniach, wyszły na jaw pobierane przezeń wielokrotnie łapówki prywatne i rządowe wzamian za poparcie polityczne, wydalony został d. 18 grudnia z klubu posłów ludowych, a równocześnie także z Koła Polskiego, z którego wystąpiło za nim pięciu posłów chłopów. Następnie na kongresie polskiego stronnictwa ludowego d. 1 lutego 1914 w Tarnowie osobną uchwałą wydalony został ze stronnictwa. Jednakowoż od pierwszej chwili starcia p. Stapiński postanowił nie dać za wygraną. Zachowawszy w swych rękach pismo stronnictwa, „Przyjaciela Ludu", oraz objeżdżając powiaty, skupia swych zwolenników, zapewniając ich z niewysłowionym cynizmem, że łapówki brał dla dobra ludu, co znajduje wdzięczny odgłos, wyrażony przez b. posła Styłę w maksymie: jak dają to brać. Z czasem zbliżył się p. Stapiński do socyalistów i do postępowych demokratów, z którymi razem wchodzi do t. zw. Komisyi Tymczasowej. Zachowując dla swego odłamu barwę polskiego stronnictwa ludowego, na kongresie, który odbył się d. 5 kwietnia 1914 w Krakowie, w obecności przedstawicieli socyalistów pp. Daszyńskiego i Diamanda oraz demokratów postępowych pp. Śliwińskiego i Laskownickiego, wypowiedział p. Stapiński wojnę całej polityce narodowej.

Drugi odłam, noszący również nadal nazwę polskiego stronnictwa ludowego, wydaje nowe pismo ludowe, „Piasta", zachował przeważną część posłów parlamentarnych w liczbie 18-stu, wśród których znajdują się p. Bojko, prezes stronnictwa, p. Witos, prezes klubu sejmowego, p. Sredniawski, prezes klubu parlamentarnego, p. Kędzior wiceprezes Koła Polskiego, p. Długosz b. minister, p. Włodzimierz Tetmajer, hr. Rey i inni.

Między tymi dwoma odłamami już się toczy i stoczy się stanowczo w bliskiej przyszłości walka o wpływy nad ludnością wiejską, a wyniki tej walki będą miały pierwszorzędne znaczenie dla kraju.

Zdawałoby się, że cały obóz narodowy polski szczerze i rzetelnie pragnąć powinien i pragnie, aby zwycięstwo nie przypadło w udziale grupie „Przyjaciela Ludu" lecz grupie „Piasta", której w tej trudnej walce nikt chyba z obozu narodowego nie powinien rzucać kamieni pod nogi, a tymczasem tak nie jest.

Zwraca mianowicie uwagę i wywołuje pewne zdziwienie stanowisko krakowskiego stronnictwa konserwatywnego, przejawiające się w „Czasie" od dwu miesięcy, bądź to w seryi artykułów, omawiających od d. 10 marca co pewien czas pisma ludowe, bądź to w artykułach naczelnych. Owe przeglądy pism ludowych pisane są bardzo zajmująco. Ale może nie całkiem dokładnie i to właśnie w stosunku do grupy „Piasta" szczególnie. Pomijając wszystko, co jest w niej dodatniego, a targając zaciekle struny fałszywie nastrojone, stara się „Czas" przedstawić tę grupę w jak najgorszem świetle. Co gorsza, wygląda to zupełnie tak, jakby chciał jątrzyć i doprowadzać tamtych do zawziętości. Złośliwość, rzekłbyś, niczem nie miarkowana, złośliwość polityków, którzy, zaszłszy w bagno z nieuczciwym p. Stapińskim jako swym sojusznikiem i nawet, co gorsza, umaczawszy palców w brudnych jego sprawkach, niechętnie taraz patrzą na uczciwe dążności p. Kędziora czy p. Witosa, którzy go obalili, a zarazem wyraźnie się obawiają, że obóz narodowy mógłby dojść z odrodzonem stronnictwem ludowem do lepszego i zdrowszego porozumienia niż oni z tamtem, bo to uwydatniłoby ich błędy polityczne. Więc pracowicie psują.

A to jest bardzo lekkomyślne i bardzo szkodliwe.

Stronnictwo ludowe, po zrzuceniu p. Stapińskiego, nie mogło oczywiście z dnia na dzień stać się doskonałem. Ale przecież na świecie wogóle rzadko zmienia się coś w jed-

nej chwili całkowicie. Jeżeli objawił się zdrowy odruch, który chce zerwać ze złem i poprowadzić ku lepszemu, to jest to wszystko, czego po ludzku oczekiwać i pragnąć można było. Otóż jest rzeczą pewną, że w stronnictwie ludowem taki odruch się zerwał, że powiał tam nowy duch zdrowszy i czystszy, że zaznaczyły się w polityce stonnictwa rysy dodatnie, których przedtem nie było.

Przedewszystkiem dźwignią buntu przeciw p. Stapińskiemu było dążenie do uczciwości i czystości w polityce. Kędzior czy Średniawski, Długosz, czy Witos, nie mogli już poprostu znieść brudu, w który brnął ze stronnictwem p. Stapiński. Ktokolwiek się z nimi zetknął i ktokolwiek ich widział w listopadzie i grudniu 1913, gdy sprawy się ważyły i gdy myśl buntu dojrzewała, ten musiał odczuć, iż jest im duszno w brudzie i chcą świeżego tchnienia uczciwości w polityce. Gdyby nawet nie zmieniło się nic pozatem, gdyby wszystkie poglądy polityczne pozostały niezmienione, już to jedno tylko, już ta dążność do czystości byłaby przełomem pierwszorzędnej doniosłości, godnym szczerego uznania ze strony innych grup obozu narodowego.

A przecież zaznaczyło się też od razu, iż równocześnie z tem otrząśnięciem się z brudów, jak być musiało, stronnictwo zamierza kierować się innemi pojęciami politycznemi niż za poprzednich rządów.

Uchwały pierwszego po zerwaniu z p. Stapińskim kongresu stronnictwa w Tarnowie d. 1 lutego 1914 świadczyły bardzo wymownie, że nowi kierownicy starali się w umysły ludu wprowadzić zasady polityczne, które stanowczo muszą się przyczynić do podniesienia poziomu ruchu ludowego, co przypomniemy sobie, przytaczając choćby krótko ale dosłownie wszystkie naczelne myśli tych uchwał, nie opuszczając żadnej z nich:

„Najwyższe, wiecznie żywe prawo narodu polskiego do budowania niepodległej Polski ludowej powinno być punktem wyjścia... Budzić będzie w ludzie polskim świadomość państwowo-twórczą i dążności niepodległościowe... Obowiązek zdobywania coraz szerszego samorządu Galicyi przeciw wszelkim zamachom na całość naszego samorządu lub przeciw podniesionemu przez ukraińców podziałowi Galicyi... Dążyć będą do stałego i planowego przekształcenia obecnego ustroju prawno-politycznego w duchu ludowym... Szczególna troska o politykę ekonomiczną tak, aby lud stał się sam dzielnym, silnym i świadomym czynnikiem gospodarczym... Zwalczać będzie kierunki służalczo ugodowe... Celem utrzymania siły i powagi reprezentacyi polskiej w państwie austryackiem uważa solidarność reprezentacyi polskiej za rzecz konieczną... Wobec rządu zachowa stanowisko niezależne... Stwierdza, że polityka brudnych dróg, przekupstw i samowładztwa szerzy w masach ludowych spustoszenie moralne".

Te same myśli naczelne wypowiedziane zostały i rozwinięte w mowie budżetowej wygłoszonej przez p. Witosa w Sejmie d. 3 marca, która oczywiście dawała wyraz pewnemu radykalizmowi stronnictwa ludowego, jako przedstawiciela włościaństwa, ale zarazem była oznaką szczerego wcielenia się do całego obozu narodowego dla wspólnej myśli narodowej.

Przedewszystkiem zaś już nie tylko w słowach lecz w czynach wyrażające się stanowisko stronnictwa w sprawach takich jak reforma wyborcza lub gimnazya ruskie zasadniczo się zmieniło, bo zamiast dawnych stałych odstępstw p. Stapińskiego ku Rusinom przyszła solidarność ze stronnictwami polskiemi i spokojne dążenie do osiągnięcia porozumienia w każdej sprawie i to nie za jakąś zapłatę, ale na podstawach rzeczowych i przekonaniowych.

Zarazem w „Piaście" odcinało się odczyszczone stronnictwo coraz wyraźniej od żywiołów nienarodowych, a broniło myśli solidarności narodowej.

W nrze 7-ym „Piasta" z d. 15 lutego ostrzegano tam przed socyalistami:

„Gdy nas ktoś chce zyskać, zważamy tylko na jego słowa i czyny spełnione ze względów taktycznych, a nie spytamy o właściwy program partyi. Tak się ma rzecz według mego zdania z chłopami socyalistami. Podoba się im taktyka obrana przez socyalistów, która każe widzieć wszędzie tylko wrogów, dybiących na zgubę chłopską, samych zdrajców i łotrów, tylko nie we własnym obozie".

O tej samej sprawie pisano znowu w nrze 13-tym „Piasta" (z d. 29 marca 1914), opowiadając o socyalistach i doświadczeniach pewnego chłopa z nimi i jak zwykle z dosadnością, która jest zwyczajem pism ludowych:

„...Tak dalej szło coraz grubiej, poczęli najzawzięciej przekpiwać świętą wiarę. To chłopa tak poruszyło, że wstał, uciekł i na zawsze zaprzysiągł się od socyalistów... Socyalizm jest wymysłem żydowskim i wyrósł z duszy żydowskiej, która nienawidzi chrześcijaństwa, Europy i jej porządku. Żydzi przez socyalizm chcą zburzyć dotychczasowy porządek społeczny i państwowy, który wyniknął z nauki chrześcijańskiej i obyczajów europejskich, a chcą postawić nowe społeczeństwo i nowe państwo, oparte o ducha żydowskiego, mają więc swoje zasady, że religia jest rzeczą prywatną, że małżeństwo jest niewolą, że własność jest kradzieżą... Nie odmawiam dobrej wiary polskim przewódcom socyalistycznym, ale nie mogę się zgodzić na ich ideał".

W nrze 8-ym „Piasta" w artykule p. t. „Chłopi w narodzie, nie poza narodem" podjęto obronę zasady solidarności narodowej:

„W Przyjacielu Ludu niejaki p. Tomasz, dla powagi i ozdoby w chłopską skórę się przestroił, nazwał się Chłopskim i chce głęboką bruzdę przeprowadzić, oddzielić chłopów polskich od narodu polskiego. Chce, aby chłopi poszli sobie, inne warstwy sobie. Koło Polskie nazywa polsko-pańskiem. Koło Polskie jest takiem, jaki jest nasz kraj. Są tam chłopi, urzędnicy, kupcy i t. d... Mamy wspólne interesy narodowe i musimy wspólnemi siłami ich bronić... Król Piast polskie państwo zbudował, rzesza chłopska, lud polski musi ją odbudować. Nie oddzielać się od narodu, ale być jego siłą, jego potęgą, to dziś nasze zadanie... Pisał ten, który chłopa więcej szanuje niż Chłopski".

Podobnie w sprawie ruskiej wypowiedział „Piast" w nrze 10-tym z d. 8 marca w na-

czelnym artykule p. t. „Nowe prawa, nowe obowiązki“ następujące zapatrywania:

„W nowym Sejmie będzie Rusinów 61. Czy nie zagwożdżą Sejmu?... Rusini dążą do podziału Galicyi, do wyrzucenia nas za San. Za Sanem jest nas około półtora miliona, tam jest polski Lwów, zwany pomnożycielem polskości, za Sanem rzadsza ludność, więcej obszarów dworskich, które pójdą prędzej lub później na parcelacyę. Za służbę Rzeczypospolitej polskiej były one Polakom nadane, polską krwią przez wieki bronione, muszą być polskiem dziedzictwem... Poselstwa polskich chłopów wynosiły dawniej mniej niż piątą część Sejmu, obecnie czwartą. Mamy większe prawa. Ale nie zapominajmy, że większe obowiązki na nas ciążą. Na nas skarżyć się będą nasze dzieci i nasi wnukowie, jeżeli damy zagwoździć Sejm, jeżeli nie rozszerzymy ale uszczuplimy prawa naszego Sejmu, jeżeli nie pchniemy Wydziału Krajowego do lepszej gospodarki. Mając większe prawa, chłop polski winien poczuwać się do większych obowiązków“.

Bardzo wyraźnie tedy zaznaczyły się w odświeżonem stronnictwie ludowem prądy zdrowe i śmiało niosące myśl solidarności narodowej, zarówno w słowie i piśmie, jak też w postępowaniu posłów na gruncie sejmowym i parlamentarnym.

Objawem ujemnym i niepokojącym był zatarg jaki począł się toczyć na łamach „Ludu Katolickiego“ z jednej strony, a „Piasta“ z drugiej strony.

Równocześnie z „Piastem“, w grudniu 1913, wychodzić zaczął w Tarnowie tygodnik „Lud Katolicki“, wydawany przez duchownych dyecezyi tarnowskiej. Po przejściach, jakich byliśmy świadkami, po wystąpieniach księży biskupów, których potrzeba tak dobitnie się zaznaczyła i których duch znalazł oddźwięk we wszystkich narodowo usposobionych żywiołach społeczeństwa, dążenie duchowieństwa do wzmożenia pracy wśród ludu jest objawem najzupełniej oczekiwanym i pomyślnym. Jest również rzeczą zrozumiałą, iż duchowieństwo zamiast garnąć się czy to pod skrzydła „Piasta“ p. Bojki czy „Wieńca i Pszczółki“ p. Zamorskiego, pragnie mieć własne swoje placówki i właśnie „Lud Katolicki“ jest jedną z takich placówek. Pismo to wydawane jest bardzo starannie.

Wydawcy „Ludu Katolickiego“ nie mieli zaufania do uczuć katolickich grupy „Piasta“, opierając się na tem, iż członkowie jej do niedawna szli razem z p. Stapińskim. Już w nrze 6-tym z d. 8 lutego w naczelnym artykule wystąpił „Lud Katolicki“ przeciw „Piastowi“ i imiennie przeciw pp. Bojce, Witosowi, Dąbskiemu i innym, bardzo ostro. Podobnie w nrze 8-ym z d. 22 lutego wystąpiono przeciw „Piastowi“ z oskarżeniem, iż stosunek jego do religii jest niejasny.

Zaczął się w ten sposób spór między obu pismami.

„Piast“ na artykuł z d. 8 lutego nie odpowiedział jeszcze wprost w nrze 7-ym z d. 15 lutego, dopiero na drugi artykuł z d. 22-go lutego odpowiedział w nrze 10-tym z d. 8. marca pisząc p. t. „Co myślą ludowcy o religii“:

„Gdy nasze milczenie obudziło pewne wątpliwości, jest obowiązkiem naszym uczynić ponownie publiczne wyznanie wiary. Niechże więc każdy, kto tego chce się dowiedzieć, przyjmie raz na zawsze do wiadomości, że ludowcy uważają wiarę katolicką za najświętszy i najdroższy skarb, że w razie potrzeby bronić są jej gotowi przeciw wszelkim zamachom wrogów. Lud polski jest w olbrzymiej większości katolickim i głęboko religijnym. Polskie Stronnictwo Ludowe, obejmujące masy włościańskie, skazywałoby się samo na zagładę, gdyby nie uznawało tej rzeczywistości i szło do ludu polskiego bez wiary lub z walką przeciw wierze katolickiej. Dalekie od nas tak bezbożne i nierozsądne zamiary. Przeciwnie, jeżeli już tego potrzeba, możemy nasze zasady i dążenia ludowe oprzeć na granitowej podstawie wiary katolickiej, możemy dowodzić łatwo, że każde nasze żądanie jest zgodne z zasadami Pisma Świętego. Istotnie taki teraz duch poczyna ożywiać społeczeństwa, że widzimy wyraźny powrót do wiary nawet żywiołów zbłąkanych w pogoni za doczesnymi ideałami. Duch buntu przeciw przemocy i niesprawiedliwości ludzkiej dawniej nieraz się kojarzył z duchem buntu przeciw wierze. Minęły te czasy. Dziś przeciw wszelakiemu złemu idziemy w Imię Boże, z otuchą w zwycięstwo dobrej sprawy. I choćby gazetki księże, a nawet księża sami obwoływali przeciw Polskiemu Stronnictwu Ludowemu nową wojnę religijną, my, ożywieni prawdziwą wiarą, możemy na te napaści niezasłużone wołać: Pan z nami!“

Gdy spór nie ustawał, mówiono o tej sprawie także na Radzie Naczelnej stronnictwa d. 19 kwietnia, jak świadczy przemówienie p. Witosa podane w „Piaście“ nr. 17 z d. 26 kwietnia:

„Duchowieństwo uważamy za czynnik niezmiernie dodatni i uważamy, że stosunek nasz do duchowieństwa wojującego jest odmienny od stosunku do duchowieństwa, które wojny nie prowadzi. Sądzę, że stronnictwo nasze nie ma żadnego zamiaru zaczynać z klerem walki, ale jeżeli będzie zmuszone tę walkę odporną przeprowadzić, to ją podejmie, jednakże będzie to walka obronna. Widzimy bowiem, że nie całe duchowieństwo występuje przeciw nam, że walkę prowadzą czynniki nieodpowiedzialne, że ta walka nie jest ogólną“.

Przytoczone głosy świadczą, jak spór na łamach pism doprowadzał powoli do zaostrzeń i do przebąkiwań o walce.

Wmieszał się w tę właśnie sprawę „Czas“ nie tylko skwapliwie, ale nawet złośliwie. Starannie ukrywał wszystko, co w „Piaście“ świadczyło o szacunku dla religii i duchowieństwa i niechęci do walki. Przedstawiał sprawę tak jakby „Przyjaciel Ludu“ i „Piast“ były zupełnie jednakowo nastrojone. Było to przedstawianie sprawy niezgodne z prawdą. Zarazem natarczywością swą starał się „Czas“ niejako wpędzać „Piasta“ w ostre wystąpienia.

Na szczęście, to się nie udało, bo „Piast“ w dalszych numerach walki z duchowieństwem lub częścią duchowieństwa, jak tam mówiono, widocznie unikał.

I rzeczywiście, jeżeli się patrzyło na usiłowania nowych kierowników stronnictwa od

początku ich porywu przeciw p. Stapińskiemu, widziało się, iż myśl o walce z duchowieństwem była im obca. Oczywiście pozostałości pewne dawnego okresu w ludziach i przyzwyczajeniach musiały zostać. Ale zarobkiem wielkiej wagi było to, że kierownicy stronnictwa nie chcą podburzać ludzi przeciw religii i przeciw duchowieństwu. Zatargi, które się w pismach toczyły obecnie, były niewątpliwie zjawiskiem raczej przypadkowem i niema widoków, aby wybuchła jakaś walka, tam, gdzie nie tylko niema do niej ochoty, ale jest nawet widoczna chęć unikania jej.

Jeżeli odradzające się stronnictwo ludowe w ważnych sprawach, jak widzieliśmy, zajmuje stanowisko nawskroś narodowe, a kierownicy jego chcą iść drogą uczciwej i poważnej pracy, czego złożyli już dowody, cały obóz narodowy musi patrzeć na to z radością. Niejedno może i musi się innym grupom niepodobać i niejedno w postępowaniu stronnictwa będzie nieraz jeszcze niewłaściwe. Ale już to, co jest, uważać trzeba za ogromną zmianę na lepsze. Stronnictwo ludowe musi istnieć, a stokroć lepiej dla sprawy narodowej, aby było to stronnictwo „Piasta“ a nie „Przyjaciela Ludu“, co chyba wszyscy uznają. Dlatego bardzo lekkomyślna polityka drażnienia, którą uprawiać zaczęło stronnictwo krakowskie, aby psuć pracę innych, nie znajdzie odgłosu w obozie narodowym.

O sieci szkolnej w Królestwie.

List I.

O sprawie tej pisano już lub wspominano kilkakrotnie w „Rzeczypospolitej“. Zabierając w tej chwili głos, pragnę: 1) podkreślić pewne okoliczności pierwszorzędnej wagi, które dotychczas nie zostały dość dobitnie ujęte; 2) dodać garść nowych faktów, potwierdzających moje poglądy oraz zasadnicze stanowisko, zajęte w artykułach lub wzmiankach poprzednich; 3) jeszcze raz sformułować odpowiednie hasła praktyczne.

Srodki, które mają być używane na terenie Królestwa do walki z analfabetyzmem i w celu podniesienia poziomu oświaty, dadzą się uszeregować w trzech kategoryach:

1) urządzanie sieci szkół rządowych i zaciąganie odpowiednich zobowiązań co do powszechnego nauczania;

2) otwieranie pojedyńczych szkół początkowych rządowych;

3) otwieranie szkół prywatnych i ochron, nauczanie domowe, w kompletach, legalne i nielegalne, wogóle szkolnictwo prywatne.

Największą zaletą pierwszego sposobu miały być zapomogi i pożyczki, obiecane przez rząd gminom lub miastom, które uchwalą stosowanie prawa o sieci szkolnej, t. j. zobowiążą się do otwarcia w ciągu pewnego okresu dostatecznej, w stosunku do liczby ludności, liczby bezpłatnych szkół rządowych początkowych. Otóż dokładne rozejrzenie się w odpowiednich przepisach (wystarczy w tym celu przeczytać krytycznie bodaj samą książkę b. posła do Dumy p. W. Grabskiego: „O nauczaniu powszechnem i zakładaniu szkół ludowych“), doprowadza nawet w tym zakresie nie tylko do wątpliwości, lecz do wniosków wyraźnych a nader... otrzeźwiających.

Przedewszystkiem istnieje paragraf prawny, podług którego z pewnego kredytu „będą udzielane poszczególnym organom samorządu ziemskiego i wiejskiego oraz gromadom wioskowym“ zapomogi „na uposażenie nauczycieli szkół początkowych, zarówno istniejących, jak i nowo otwieranych, w wysokości po 390 rb. na komplet 50 dzieci w wieku szkolnym (od lat 8—11) licząc na pensyę nauczyciela co najmniej 360 rb. rocznie i dla nauczyciela religii (na komplet 100 dzieci w wieku szkolnym) co najmniej 60 rb.“ (Grabski, str. 72). W prawie niema żadnej wzmianki o sieci szkolnej: wszystkie szkoły rządowe posiadają pod tym względem zasadniczo jednakowe widoki, niezależnie od tego czy do tej sieci są włączone czy też nie. Z tekstu prawa nie wynika bynajmniej, by zasiłki te zawsze i bezwzględnie miały być udzielane — i kto wie, jak sprawy jeszcze mogą się ułożyć. W każdym razie gmina, zobowiązując się do urzeczywistnienia nauczania powszechnego, czyni to warunkowo, uzależniając wykonanie swej uchwały nie tylko od zatwierdzenia planu sieci szkolnej i ogólnego planu finansowego, lecz i od przyznania tych zapomóg (Grabski, str. 58—60), które mają być zatwierdzane z góry na cały szereg lat (Grabski, str. 47).

Zupełnie coś innego stosuje się do zasiłków najbardziej nęcących, na budowę gmachów szkolnych. Otóż istnieje fundusz szkolnybudowlany ministeryum oświaty, imienia cesarza Piotra Wielkiego, z którego mają być udzielane pożyczki, oraz inne fundusze, z których mogą być wydawane zapomogi bezzwrotne. Szczegóły znaleźć można na str. 78—85 książki p. Grabskiego. Suma ogólna pożyczki i zapomogi bezzwrotnej nie może przekroczyć $^4/_5$ kosztów budowy; tak n. p. na budynek murowany, którego koszt wynosi 4000 rb., można otrzymać 2000 rb., jako zapomogę i 1200 rb. pożyczki (płatnej po $3^0/_0$). W odpowiednich przepisach pierwszeństwo pod względem prawa do tych zasiłków dano szkołom, należącym do sieci szkolnej — w praktyce podkreśla się to jakoby jeszcze wyraźniej. Z drugiej strony jednak — i to jest punkt podstawowy — gmina nie uzależnia swej uchwały od zapewnienia przez rząd tych zasiłków. Starać się o nie należy co roku podług okólnika ministeryum oświaty z d. 28. sierpnia 1911 r. Nr. 27378, przytoczonego w książce p. Grabskiego na str. 100, 101. P. Grabski zaznacza: „może się zdarzyć, że w którymś roku nastąpi dla braku funduszów zwłoka w przyznaniu zapomogi ze strony ministeryum i gmina znajdzie się w tem położeniu, że będzie posiadała dopłaty na szkoły, ale nie otrzyma zapomóg i pożyczek od skarbu“. Nie wiem zaiste, skąd p. Grabski ma pewność, że nie może się zdarzyć jeszcze co innego, że mianowicie rząd wziąwszy od gminy zobowiązanie, nie dające się cofnąć, jeżeli nie od razu, to po pewnym czasie nie umyje zupełnie rąk od wszelkiej pomocy, do której nie zobowiązał się formalnie i bezwzględnie? Z początku jesteśmy kokietowani i zachęcani, gdy wpadnie-

my całkowicie w potrzask, wystawiona przynęta będzie już niepotrzebna. A w tradycyi państwa rosyjskiego nie leży zbyt wielka szczodrobliwość na cele oświatowe, nawet gdy pod płaszczykiem oświaty ma się rozwijać najusilniejsza rusyfikacya. Dogodniej przecież rusyfikować kraj za jego własne i dobrowolnie składane pieniądze n. p. zapomocą szkół średnich prywatnych z prawami lub rządowych (wogóle rosyjskich), zasilanych przez miasta.

Wreszcie zasiłki rządowe w naturze i darowizna gruntu skarbowego pod szkołę i ofiary z budulcu, dalej prawo do zatrzymywania oszczędności z zasiłków na uposażenie nauczycieli zależą również od łaski i widzimisię rządowego. Co się tyczy $^1/_3$ czystych zysków kas gminnych pożyczkowo-oszczędnościowych, to gmina może je wogóle użyć „na własne potrzeby“, a więc zasadniczo istnieje tu możność do wydawania z tego źródła zapomóg również szkole prywatnej, a nie koniecznie rządowej.

Zebrawszy wszystkie powyższe dane, widzimy jak dalece nierealnie wyglądają te właśnie udogodnienia i zyski, które tak wysuwają i podkreślają zwolennicy projektu rządowego powszechnego nauczania. Gmina zaciąga ogromne zobowiązania na czas zupełnie nieokreślony, a w zamian nie uzyskuje od rządu nawet w zakresie finansowym (nie mówię już w tej chwili o innych) nic pewnego i wyraźnego, prócz zasiłków 1-ej kategoryi (390 rb. na komplet 50 dzieci), które można również otrzymać przy zakładaniu pojedyńczej szkoły rządowej. Składając podanie o pojedyńczą szkołę lub parę szkół, gmina lub wioska staje raczej na pewniejszym gruncie, w tem znaczeniu, że wobec doraźnego charakteru akcyi, może uzależnić swą uchwałę również od zapomogi i pożyczki na budowę. (Grabski, str. 63—65).

Muszę podkreślić w tem miejscu jak najdobitniej, że wszystkie te perspektywy i możliwości prawne biorę właśnie z informacyjnej i agitacyjnej książki p. Grabskiego na rzecz sieci szkolnej.

Inną zaletą systemu nauczania powszechnego miała być jego prostota i charakter poniekąd automatyczny: dość, by gmina uchwaliła jednorazowo pewien pobór pieniężny, a wraz z zapomogami rządowemi, zebrane w ten sposób środki wystarczą na budowę nowych szkół, na ich uposażenie, na spłatę pożyczki i t. d. bez nowych narad do składki szkolnej. Wogóle zaś akcya się toczy podług planu, z góry powziętego i przemyślanego, z wyraźnymi pod względem formalnym (tylko!) celami i etapami. Otóż, jak zaznaczyłem, w mechanizmie tym mogą zawieść czynniki finansowe, może być tedy sporo kosztów i kłopotów, nieprzewidzianych przez ugodowych marzycieli. Reszta zaś, t. j. kierunek szkół i system nauczania, dobór osób i t. d., istotnie urządzone zostaną automatycznie dla naszego oka, gdyż maszynerya będzie stale i wyłącznie lub prawie wyłącznie nakręcana przez rząd. Przecież nawet konkurencya szkół prywatnych ze szkołami rządowemi może się stać niemożliwą, gdy wobec istnienia wystarczającej „sieci“, szkoły prywatne będą w gminach „niepotrzebne“ i przestaną wogóle otrzymywać zatwierdzenia, jak to już zachodziło kilkakrotnie w miejscowościach, gdzie uchwalono urządzić sieć szkolną. W miastach, ze względu na zamieszkujące je warstwy inteligencyi, obrona może być łatwiejsza: pytanie jednak, jak się rozwiną jeszcze i na tym terenie, przy naszej bierności, teraźniejsze hasła agresywne polityki rządowej. Odwrócić tedy należy zarzuty, wypowiedziane kiedyś przez „Gazetę Warszawską“ i właśnie pozytywny stosunek do sprawy sieci szkolnej uznać za objaw bierności i próżniactwa. Nie popierać sieci szkolnej to nie znaczy zadawalniać się przeczeniem — to znaczy czynić co innego, coś istotnie trudnego i wymagającego ofiar i ogromnych wysiłków.

Nie rozwijając tutaj dalej rozważań o niebezpieczeństwach moralnych i politycznych, związanych z projektem sieci szkolnej, przytoczę szereg nowych, a charakterystycznych faktów, które potwierdzają wyrażane już poprzednio w „Rzeczypospolitej“ i powyżej wspomniane obawy.

Miasto Będzin gub. Piotrkowskiej, posiadające 8 szkół początkowych i wydatkujące na nie przeszło 16.000 rb., do czego Zarząd Okręgu Naukowego dokładał dotychczas co roku 20 (naprawdę: dwadzieścia) rubli, postanowiło skorzystać z nowych dobrodziejstw rządu. Po zasadniczej uchwale miano puścić w ruch 6 nowych szkół i poproszono o zapomogi na ich urządzenie. Odpowiedziano na to, że zapomogi będą.... gdy szkoły zostaną już urządzone. Otóż budżet miejski takich kosztów nie przewiduje przeto idylla skończyłaby się tymczasem powrotem do status quo, gdyby nie inne jeszcze epizody. Oto Dyrekcya Naukowa mianowała już 6 nowych nauczycieli, z tej liczby 3 (czy 4) Rosyan, którzy oczywiście rozpoczęli urzędowanie od udania się do burmistrza po pensye. Pensyi nie otrzymali i ostatecznie mianowania zostały cofnięte. Jednocześnie pretensye t. zw. opiekunów szkolnych do podawania, zgodnie z warunkami uchwały, kandydatów na nauczycieli, wywołały z początku dyplomatyczną odpowiedź naczelnika Dyrekcyi — a potem (o czem już trudno wiedzieć dokładnie) pono jakieś dyscyplinarne śledztwa czy coś w tym rodzaju.

Nader dobitne dowody dążności i taktyki rządu stanowi postępowanie w stosunku do kilku gmin, które, godząc się na sieć szkolną, postawiły w uchwale warunek, by nauczycielami byli Polacy. Rozstrzygnięto rzecz po salomonowemu: uchwałę zatwierdzić bezpowrotnie, ale wyrzucając z niej zastrzeżenie. Bardzo wyraźnie wyglądają, takie fakty, jak: poświęcenie jednej ze szkół w ziemi kieleckiej czy lubelskiej przez popa prawosławnego, jak przysłanie znów do innej szkoły nauczycielki kozaczki, nie umiejącej ani słowa po polsku. Zaznaczę przytem, że prawo wymaga tylko tyle, by jeden z nauczycieli był katolikiem, więc jeżeli ich jest kilku, to inni mogą być prawosławni nawet w myśl litery prawa, a cóż dopiero po jego należytem rozciągnięciu i dopasowaniu!

Rząd pomyślał o kształceniu nauczycieli: otworzono tedy w kilku miejscach (Warszawa,

Sosnowiec i t. d.) kursy, których kierownicy potrafią w $1/2$ roku z posiadacza bodaj dwuklasowego świadectwa rządowego uczynić nauczyciela ludowego. Natomiast w jednej z takich instytucyi ucznia, który ukończył 6 czy 7 klas szkoły polskiej potraktowano zapytaniem „A czy pan umie dość po rosyjsku?“ i kwaśną uwagą: „nauk takich nie potrzeba“.

Dobrze broniono się przeciwko zakusom rządowym w gminie Wólka powiatu lubelskiego (zebranie odbyło się dn. 31 stycznia). Wspominam o tem specyalnie, ponieważ zabrano się tam czynnie do odzyskania funduszu szkolnego, powstałego z dzierżawy gruntów, danych pod szkoły jeszcze w r. 1864. Takich gruntów lub dochodów, zagarnianych przez rząd dzięki nieuświadomieniu włościan, a niedbalstwu innych członków gminy może być dużo (wspomina o nich również p. Grabski, str. 39). Wskazania co do omawianej sprawy ująłbym w 3-ch punktach:

1) Bezwarunkowe odrzucanie projektów co do urządzania sieci szkolnej;

2) Jak najbardziej wytężona i ofiarna akcya zarówno prawna, jak i nielegalna, w zakresie szkolnictwa i nauczania prywatnego, w myśl zasad Czackiego, Kołłątaja i A. Czartoryskiego, tak w porę przypomnianych w artykule: „Społeczeństwo i Szkoła“. („Rzeczpospolita“ Marzec 1914). Działalność towarzystw, instytucyi i osób prywatnych, zapomogi jednostek prawnych, ofiarność zbiorowa i hojność pojedynczych dawców, wysiłki, czynione przez każdego, jak dawniej, w kole najbliższem, owa niesłusznie lekceważona „robota panieńska“ po wsiach — wszystko winno się składać na całość jak najdonioślejszą.

3) W ostateczności: zakładanie pojedynczych szkół początkowych rządowych, bez zaciągania zobowiązań co do sieci szkolnej. Wyjaśniałem wyżej, iż sprawa funduszów zostaje wtedy wyraźniej postawiona, a co ważniejsza, gmina nie wpada w pułapkę bez wyjścia, na łaskę i niełaskę rządu.

Mógłby kto zapytać, co warte te hasła, jeżeli n. p. w gub. Piotrkowskiej projekt rządowy przyjęło 81,7% gmin, a wszystkie miasta — jeżeli został przyjęty przez całą gub. Płocką — jeżeli przed kilku miesiącami p. H. C. naliczył obok 150 gmin, które go odrzuciły, 200 takich, które się za nim wypowiedziały? Otóż najgorszą klęską (jeżeli już o klęskach mowa!) jest nie porażka po walce, lecz ukorzenie się bez walki. „Konieczność“, przed którą padało plackiem wielu ludzi nie tak głupich ani obłudnych, aby zachwycać się dobrodziejstwami rządu, była w istocie raczej odbiciem naszej bierności lub tchórzostwa. Każda gmina, która nie zaciągnęła jeszcze zobowiązań co do sieci, jest placówką godną jak najbardziej wytężonej obrony. A pozatem, wchodzą tu w grę momenty polityczne ogromnej wagi. Powszechne przyjęcie projektu rządowego bez oporu byłoby jak najszkodliwszem dla nas ułatwieniem zamiarów rządu, zachętą do rusyfikacyi tem bezwzględniejszej, im bardziej ogół „pożąda“ szkół ofiarowanych mu tak natarczywie, ogromnem zamąceniem opinii społecznej, i tak już dość tumanionej, wreszcie jeszcze jednem pomniejszeniem międzynarodowej wagi i doniosłości sprawy polskiej. Opór nie odbiera nam możności postępu w zakresie oświaty. Czy zresztą recepta rządowa ma być tak niezawodna i radykalna, choćby w stosunku do rozpowszechnienia „czystej“ nauki czytania i pisania? I w tych ramach potrzeba lat całych, może dziesiątków lat. Opór, połączony z odpowiednimi czynami pozytywnymi, usuwając mnóstwo niebezpieczeństw, pozwoli stawiać sprawę na prawdziwym poziomie walki o byt i prawo, a nie na gruncie jakiejś kłamanej sielsko-ugodowo-policyjno-ministeryalnej idylli.

Ze wsi w Królestwie. *K.*

List II.

„Niemożliwem jest, by nasyłani nam byli nauczycieli Rosyanie“... tak w roku ubiegłym pisało „Zaranie“, zalecając gminom w Królestwie powzięcie uchwał zaprowadzających nauczanie powszechne. W podobny sposób, z większym jeno jeszcze tupetem i zjadliwemi uwagami pod adresem przeciwników sieci szkolnej występowały również pisma demokratyczno-narodowe, gorliwie pracujące nad „zmniejszeniem kąta odchylenia od państwa“.

Upłynęło kilka miesięcy i słowa „Zarania“ brzmią nam dziś w uszach jak okrzyk tonącego: „niepodobna abym utonął“ w chwili, gdy zamknęła się już nad nim czarna toń.

Ależ bo na czem opierało „Zaranie“ swoje „niemożliwem jest“, czy na jakim przepisie prawa, czy na doświadczeniach przeszłości?

Nie istnieje żaden przepis nakazujący na posady nauczycieli ludowych w Królestwie naznaczać wyłącznie Polaków. Nie mają też gminy prawa, ani mianować ani usuwać nauczycieli, ani rozciągać kontroli nad nauczaniem w szkole. I pod tym względem nie łudził nas rząd. W chwili najgorętszej w społeczeństwie naszem dyskusyi na temat sieci szkolnej, czytaliśmy we wszystkich pismach warszawskich:

„Ministeryum spraw wewnętrznych wyjaśniło, że nauczyciele szkół ludowych nie są podwładni wójtom, którzy powinni mieć tylko nadzór nad sprawowaniem się nauczycieli. Przedsiębranie przez wójtów jakichkolwiek środków nie jest dozwolone; mogą oni tylko donieść o niestosownem zachowywaniu się nauczycieli Radzie Szkolnej (przy naczelniku Dyrekcyi), od której zależy mianowanie nauczycieli i usuwanie ich“.

Nie przeszkodziło to zapędzonej w kierunku powszechnego nauczania całej prawie prasie polskiej zaboru rosyjskiego (poza nielicznymi wyjątkami) zachęcać w dalszym ciągu gminy do przyjmowania projektu rządowego. W zapale godnym, zaiste, lepszej sprawy dawano ludowi wprost fałszywe informacye.

Nie na praktyce przeszłości opierali się też zwolennicy sieci szkolnej.

Od dawna już, zwłaszcza we wschodniej i północnej części Królestwa, naznaczano na stanowiska nauczycieli ludowych Rosyan i Litwinów obojej płci. Bywały już i dawniej szkoły gminne, w których nie uczono wcale języka polskiego. Leży przed nami cały spis takich szkół, od dawna rusyfikujących nasze dzieci i demoralizujących ludność dojrzałą, leży stos listów stwierdzających fatalne rezultaty

działalności pp. nauczycieli i nauczycielek rządowych, oraz słuszność stanowiska tych, którzy się bezmyślnej akcyi w sprawie nauczania powszechnego od pierwszej chwili z całą mocą przeciwstawili.

Wybieramy z tego materyału garść najbardziej wymownych przykładów.

Pisze młoda nauczycielka z okolic Jędrzejowa w gub. Kieleckiej: „Wzięłam się najpierw do dzieci, które mój poprzednik tak zrusyfikował, że poza obrębem szkoły do mnie po rosyjsku mówiły“. O szkołach sieci szkolnej donosi ta sama korespondentka: „Na 4-ch nauczycieli Polaków dają 5-go Moskala, który winien strzedz, by inni lojalni i wierni cesarzowi byli“.

Dostał się do rąk naszych list 12-letniej uczenicy jednej ze szkół gminnych w okolicach Ostrołęki. Z listu tego wielce charakterystycznego dowiadujemy się, że w szkole, choć prowadzonej przez Polaka mówić każą „tak jak strażnik gada“ i śpiewać codzień „nie tak, jak w domu“. Dowiadujemy się też, co już przedtem niejednokrotnie stwierdzonem zostało, że do szkoły takiej chodzić może dziecko dwa lata i dłużej i nie zdobyć nawet umiejętności czytania.

Te i t. p. utyskiwania w listach korespondentów pism ludowych spotykane, świadczą, że nie tylko tam, gdzie jest nauczyciel Rosyanin, prowadzi się rusyfikacyę: Polacy, wychowańcy seminaryów rządowych na wielu punktach nie ustępują Rosyanom.

A oto cały szereg szkół, w których wcale nie uczy się po polsku. We Włocławsku istnieje szkoła miejska, której nauczyciel nie zna języka polskiego. Szkoła ta jest bojkotowana przez ludność miejscową. Uczęszcza do niej bardzo mała gromadka dzieci. W Radzyniu (gub. Siedlecka) znajdują się dwie szkoły miejskie — męska i żeńska. Pierwszą prowadzi Rosyanin, drugą — Rosyanka. Wykładu języka polskiego niema wcale, to też wychodzące ze szkół tych dzieci nie umieją czytać i pisać po polsku. Niema też w tych szkołach wykładu religii. W Wochyniu (wieś, pow. Radzyński) nauczyciel miejscowej szkoły gminnej nie uczy po polsku. Wykładu religii katolickiej niema. Za to kilkorgu dzieciom prawosławnym dwa razy na tydzień wykłada religię pop, za co otrzymuje 100 rb. rocznie. W Strachosławiu (pow. Chełmski) uczęszcza do szkoły 50 dzieci katolickich i jedno prawosławne. Pop wszystkim dzieciom wykłada religię. W Rozwadówce (g. Siedlecka) w miejscowej szkole gminnej dzieciom nie wolno mówić po polsku. W Siedliszczu i w Pawłowie (pow. Chełmski) nauczycielki Rosyanki uczą dzieci pacierza po rosyjsku. We Wrotkowie (g. Lubelska) nauczyciel Rosyanin nie uczy po polsku. W Kamieńsku (g. Piotrkowska) znajduje się nauczyciel Rosyanin, p. Kirkiewicz, gorliwy propagator sieci szkolnej.

Przykładów tego rodzaju pełno w każdej okolicy.

Że nie łatwo jest pozbyć się nauczyciela Rosyanina, świadczy fakt zachodzący w Babsku (pow. Rawski). Od lat 14 tkwi tam nie tylko szpieg i demoralizator, co mogłoby mniej razić, lecz i złodziej, ale — prawosławny. Daremnie usiłowali go wyrugować chłopi, daremnie właściciele Babska czynili zabiegi o to samo w Petersburgu. Mimo pewnych stosunków i wpływów, akcya się nie udała. Szpieg tkwi na miejscu.

O faktach w rodzaju powyższych kierownikom opinii, redaktorom pism ludowych nic wiedzieć nie wolno. Nie wolno odzywać się naiwnie: „niemożliwem jest, by nasyłani nam byli nauczyciele Rosyanie“.

Zapalonym zwolennikom sieci nie zdołały otworzyć oczu i metody postępowania władz stosowane przy przeprowadzaniu uchwał gminnych w sprawie powszechnego nauczania.

Akcya zapoczątkowana przez „liberalnego“ naczelnika Dyrekcyi naukowej płockiej znalazła mniej liberalnych kontynuatorów w innych okolicach Królestwa. Ilekroć zwłaszcza władze spotkały się z odporem, nie cofały się przed znaną rosyjską zasadą administracyjną „biej w mordu“, swobodnie stosowaną w gminach. Tak traktował przeciwników sieci osławiony naczelnik powiatu Łukowskiego p. Samarży. Gdzieindziej znowu, (w Sułoszowej g. Kielecka) gdzie projekt sieci szkolnej jednogłośnie odrzucili gminiacy, na gminę spadły represye w postaci rewizyi żandarmskich. Główny zaś przywódca opozycyi, włościanin, skazany został na trzy miesiące więzienia za podburzanie przeciw władzy. I w guberni Kaliskiej skazano kilku włościan za skuteczne sprzeciwianie się wprowadzeniu powszechnego nauczania na kary pieniężne 200 rublowe.

Nacisk na gminy, które projekt powszechnego nauczania odrzuciły jest dotychczas bardzo silny. W niektórych miejscowościach już po raz piąty zwołuje się zebranie gminne i wciąż przedstawia się ten sam projekt sieci szkolnej; liczą władze oczywiście na to, że przypadkowy skład zebrania ułatwi przeprowadzenie wniosku, lub, że jakimś postrachem czy podstępem uda się złamać opór. Nie obeszło się w niektórych miejscowościach bez fałszowania protokołów zebrań gminnych. Następstwem tego są dziś protesty gminiaków i odmowa płacenia podatków na szkoły, sekwestrowanie dobytku opornych i t. d. Między innemi ma to miejsce w powiecie Łukowskim.

Od nowego roku szkolnego funkcyonuje już pewna ilość szkół nowych, zaprowadzonych wedle projektu powszechnego nauczania.

Zdawałoby się, że przynajmniej w pierwszych latach, by nie zrażać społeczeństwa władze rosyjskie unikać będą narzucania nam w tych szkołach nauczycieli Rosyan. Ale rząd rosyjski przywykł w ostatnich czasach do niekrępowania się żadnymi względami, gdy o nas chodzi. Uległa do obrzydliwości, do najwyższego bezsensu postawa społeczeństwa polskiego ośmiela do stawiania nam nogi na karku.

Więc też do Radziechowic (pow. Radomskowski) przysłano, jak nam piszą „Kozaczkę“ nie umiejącą po polsku. Do Kwiatkowic (pow. Łaski — gm. Wodzirady) przysłano p. Bogdanową, Rosyankę, nie rozumiejącą po polsku. Gdy dama ta, nie mogąc porozumieć się z dziećmi, prosiła naczelnika Dyrekcyi,

by ją przeniósł do miasta, otrzymała odpowiedź, że nieznajomość języka polskiego nie stanowi przeszkody do zajmowania posad nauczycielskich w Kraju Przywiślańskim. W Niezabitowie (pod Nałęczowem) mamy Moskiewkę. W Ciechanowie (gub. Płocka) Moskala, który nie umie po polsku. W Szamowie (pow. Łęczycki) spotykamy się z najmniej szkodliwym typem Moskala. „Pijany z duszą“ od rana do wieczora! Sieć szkolną w okolicach Czerwonego Boru (g. Łomżyńska) obsadzono Litwinami i Litwinkami, którzy rusyfikują dzieci nasze z całym zapałem. Jedna z tych Litwinek od pierwszego dnia pobytu w szkole kazała dzieciom mówić po rosyjsku. Gdy nie umiały, zaczęła bić... „Mówcie po rosyjsku — wołała — bo mnie i was dyrektor wygoni“.

Charakterystyczny niezmiernie jest wypadek w Nasielsku (g. Warszawska). Na zebraniu gminnem, gdy naczelnik Dyrekcyi zaproponował założenie sieci szkolnej, zapanowało zrazu milczenie. Wreszcie proboszcz miejscowy zwrócił się do czynownika z zapytaniem: „Czy p. dyrektor może nam zaręczyć, że do tych nowych szkół otrzymamy nauczycieli Polaków?“ „No, tak!“ odpowiedział p. naczelnik. Sieć szkolną uchwalono. I oto do pierwszej szkoły, która powstała w Nasielsku przysłano Rosyankę, nie umiejącą po polsku. Języka polskiego uczą się dzieci same...

Podobny wypadek zaszedł w Rybczewicach (pow. Krasnostawski). Tam nie poprzestając na ustnej obietnicy, zaprotokołowano, iż gmina zgadza się na zaprowadzenie powszechnego nauczania pod warunkiem, że do szkół przysłani będą nauczyciele Polacy i że ksiądz wykładać będzie religię. Jakoby władze zgodziły się na to zastrzeżenie i wielki był z tego powodu tryumf miejscowych działaczy. Przykład Rybczewic oddziałał na postanowienia gmin w bardzo wielu okolicach ziemi Lubelskiej. Aliści niezadługo przyszło rozczarowanie. Do dwu nowych szkół w gm. Rybczewicach przysłano dwu Moskali, nie posiadających cenzusu naukowego (jeden z nich nie skończył nawet dwu klas) „piszczyków“ z kancelaryi rządowych w Lublinie.

W jednej z gmin w guberni Siedleckiej (nazwy ze względów policyjnych nie wymieniamy) przysłano do nowych szkół pięć Moskiewek. Działaczki te w ciągu kilku miesięcy potrafiły tak zjednać sobie ludność miejscową, że dziś już niema mowy o trafieniu tam z nielegalnem pismem lub książką. A była to gmina jak się mówi zwykle, pod względem narodowym uświadomiona, związana niegdyś w organizacyę; gmina, w której funkcyonowały z roku na rok szkoły tajne.

Fakt powyższy świadczy, że niebezpieczeństwo narodowe sieci szkolnej przewyższa nawet tę miarę, jaką mu zakreślali w przewidywaniach swoich najgorętsi przeciwnicy oświaty rządowej.

Zaprowadzeniu rządowej sieci szkolnej towarzyszy bardzo wyraźna tendencya tępienia szkół początkowych prywatnych z językiem wykładowym polskim. I to twierdzenie poprzeć możemy całym szeregiem smutnych przykładów.

Gdy mieszkańcy wsi Zyzany (gm. Bałkuny, g. Suwalska) złożyli Dyrekcyi miejscowej podanie o pozwolenie założenia szkoły prywatnej, otrzymali odpowiedź odmowną, motywowaną tem, iż w r. 1924 stanie w Zyzanach szkoła gminna według projektu powszechnego nauczania. Dotąd toczy się korespondencya w tej sprawie, wnoszone są skargi zapewne bezskutecznie.

W guberni Płockiej, która pierwsza dała się wziąć na lep obiecanek rządowych i zapewne najgęstszą mieć będzie sieć szkół rosyjskich, Dyrekcya naukowa zwraca się do koncesyonaryuszy szkół początkowych prywatnych z żądaniem zwrotu koncesyi. Jako motyw podaje uchwalenie sieci szkolnej. (Nazwisk rozmyślnie nie wymieniamy, ażeby nie narażać na nieprzyjemności osób, które otrzymały tego rodzaju żądania).

Trafia się też (wiemy o dwóch takich wypadkach — nazwisk drukować nie możemy), że właścicielki szkół prywatnych bez wiedzy swej i woli otrzymują nominacyę na nauczycielki szkół rządowych... z jednoczesnem zaleceniem zamknięcia prowadzonych dotąd szkół polskich.

W miejscowościach, które uchwaliły powszechne nauczanie, nie wydają władze pozwoleń ani na szkoły prywatne, ani nawet na ochrony.

Wszystko to razem składa się na obraz niesłychanie smutny, tem smutniejszy, że dziełem on jest rąk polskich, że nie przemocą narzucono nam powszechne nauczanie rosyjskie, że sami z bezprzykładną lekkomyślnością, z zaparciem się niedawno jeszcze tak wysoko obnoszonych haseł szkoły polskiej — pomagamy rządowi zaborczemu do] szerzenia rusyfikacyi i deprawacyi politycznej po wszystkich zakątkach naszego kraju. Walka o sieć szkolną nie skończona dotychczas, bo w niektórych ziemiach projekt rządowy bardzo nielicznych znalazł zwolenników.

Walka ta jest nierówna.

Władze bowiem poczęły tłumić gwałtownie dyskusyę w prasie o sprawie sieci szkolnej. Skazane zostały na kary pieniężne za artykuły przeciw sieci „Ziemia Lubelska“, podobnie „Lud Polski“ oraz „Tygodnik Polski“, a redaktora pierwszego z tych pism, gdy nie zaniechał on pisania o sieci, ukarano dwumiesięcznem więzieniem.

Swobodniej, tem swobodniej, agitują za siecią jej zwolennicy, nie nauczeni jeszcze smutnemi i groźnemi na przyszłość doświadczeniami.

Warszawa. *Janusz Nowina.*

Kaszuby.

Sprawa kresów bez wątpienia w czasach ostatnich zwraca na siebie coraz więcej uwagę ogółu, coraz częściej wchodzi w program naszych prac, a przynajmniej zamierzeń na polu społeczno-narodowem, nie zawsze niestety jednak realizowanych. Prace te z pewnością o wiele korzystniejby się rozwijały, gdyby spotykały się tak z wydatną pomocą materyalną,

jak i moralną podnietą ze strony całego społeczeństwa polskiego, a nie spoczywały jedynie tylko na barkach miejscowych działaczy, zbyt skromnymi często środkami rozporządzających i nie zawsze umiejących ogarnąć całokształt sprawy narodowej.

Ze wszystkich naszych spraw kresowych jedną z najbardziej chyba zasługujących na zapoznanie się z nią ogółu społeczeństwa jest sprawa kaszubska. Jest to nie tylko sprawa ocalenia od zagłady ostatnich strzępów pozostałych z dawnych Pomorzan i utrzymania przy polskości więcej niż stu tysięcy jednostek. Jest to problem obrony jedynego pomostu etnograficznego, który łączy Polskę z morzem, jest to zagadnienie zachowania jedynego polskiego skrawka wybrzeża, gdzie mimo wszystko powiewa jeszcze sztandar naszego narodowego bytu. Sprawa ta więc jest jak najbardziej ogólno-polskiego znaczenia, jedną z najważniejszych z punktu widzenia przyszłej odbudowy państwa polskiego i jako taka nie może być troską lokalną jednej dzielnicy, czy jednego zaboru, lecz jest własnością całego społeczeństwa polskiego i przez nie winna być nieustannie i z niesłabnącem napięciem śledzona.

Przystępując do ocenienia i należytego zanalizowania całokształtu sprawy kaszubskiej należy przedewszystkiem stwierdzić jak najbardziej objektywnie stan faktyczny naszego obecnego tam posiadania.

Terytoryum zamieszkane dziś jeszcze przez szczep kaszubski ogranicza się prawie wyłącznie do Pomorza polskiego, t. j. do dawnego województwa pomorskiego i z małymi wyjątkami nie przekracza zachodniej granicy Rzeczypospolitej z r. 1772, a dziś mieści się w obrębie prowincyi zachodnio-pruskiej. Nie przypominając szczegółowo ciekawej z wielu względów dawnej przeszłości Pomorza, musimy jednak zaznaczyć chociażby w kilku słowach główne zmiany polityczne, którym w ciągu wieków ulegało polskie pobrzeże Bałtyku. Gdy Pomorze zachodnie czyli nadodrzańskie, zachowując aż do XVII wieku odrębność państwową i własnych książąt, z chwilą gdy dynastya zatraciła charakter słowiański, a za nią szlachta i mieszczaństwo, szybko uległo wpływom kultury niemieckiej, a w następstwie tego zupełnej germanizacyi, to równocześnie wschodnia połać Pomorza ciągnąca się wzdłuż lewego brzegu dolnej Wisły pod nazwą Pomorza Gdańskiego albo Polskiego, rządzona czas jakiś w myśl testamentu Krzywoustego przez w. książąt krakowskich, stanowiła następnie odrębną jednostkę państwową i posiadała własną, acz krótkotrwałą dynastyę książęcą, przechodziła następnie kilkanaście zaledwie lat trwający okres zjednoczenia z Polską za Przemysława II, najazd Brandenburczyków, wreszcie przeszło półtorawiekową niewolę krzyżacką. Dopiero po wojnie 13-letniej, na mocy pokoju toruńskiego skiego (1466) powróciwszy do Polski, ziemia ta utworzyła województwo pomorskie, jedno z trzech wchodzących w skład Prus Królewskich i tak pozostała przez lat 306 aż do pierwszego rozbioru, od której to daty bez żadnej przerwy podlega panowaniu pruskiemu jako część prowincyi Zachodnio-pruskiej (Westpreussen).

Według dzisiejszego podziału administracyjnego Prusy Zachodnie dzielą się na dwa obwody regencyjne: gdański na północy i kwidzyński obejmujący południową część prowincyi. Ziemie byłego województwa pomorskiego przynależą w swej południowej części do regencyi kwidzyńskiej, w północnej do gdańskiej. Zajmują one zachodnią część Prus Zachodnich, t. j. cały obszar po lewym brzegu Wisły z wyjątkiem powiatów Złotowskiego i Wałeckiego, które za czasów polskich wchodziły w skład województwa poznańskiego. Wymieniony obszar wynosi prawie połowę powierzchni całej dzisiejszej prowincyi. Za czasów Rzeczypospolitej województwo pomorskie dzieliło się na 10 następujących powiatów: pucki, kościerzyński, gdański, tczewski, skarszewski, nowski, świecki, tucholski, człuchowski i mirachowski. Dziś na tem samem terytoryum znajdujemy powiaty: pucki, wejherowski, kartuski, kościerski, starogardzki, gdański i miasto Gdańsk, wszystkie w regencyi gdańskiej; w regencyi zaś kwidzyńskiej się znajdujące: człuchowski, chojnicki, tucholski, świecki i zachodnia część kwidzyńskiego.

Na obszarze tym wedle urzędowego spisu ludności z dnia 1 grudnia 1910 r. mieszkało ludności ogółem 829.784, w czem polskiej 343.411, t. zn. Polacy stanowili 41·4%. Statystyka pruska zawiera osobną rubrykę dla języka polskiego, osobną dla kaszubskiego, a prócz tego dwie rubryki dla 2-językowych. W jednej są zapisani używający języka niemieckiego i polskiego, w drugiej niemieckiego i innego. Ta ostatnia rubryka zapełniona jest tylko przy powiatach kaszubskich, przy innych zaś świeci pustkami. Łatwo się więc domyśleć, że owym „innym“ językiem jest tu kaszubski. W naszych obliczeniach sumujemy te cztery rubryki, wszystkich tam zapisanych uważając za ludność polską.

Spadek Polski po książętach pomorskich przedstawia się więc jako szmat ziemi wynoszący około 12.600 km², a zawierający na swym obszarze $^1/_3$ miliona Polaków, a blisko $^1/_2$ miliona (486.373) Niemców.

Na tem to terytoryum przechowały się pod nazwą Kaszubów resztki dawnej ludności pomorskiej. Nie cała jednak ludność polska tam żyjąca używa narzecza kaszubskiego i do tego szczepu może być liczona. Cała połać południowo-zachodnia dawnego województwa pomorskiego, o ile nie jest zgermanizowana, należy pod względem językowym do gwar polskich, nie-kaszubskich, a mianowicie znachodzimy tu dwie gwary przejściowe, graniczące z Kaszubami, t. j. kociewską i borowiecką. Wobec tego, że tam, gdzie Kaszubi stykają się z rdzennie polskiemi gwarami, mowa ich traci cechy charakterystycznie kaszubskie na rzecz tamtych, t. j. Kaszubi asymilują się do polszczyzny, ścisłe wytyczenie granicy terytoryum kaszubskiego jest nadzwyczaj trudne i może być przeprowadzone tylko w sposób naukowy przez lingwistów.

Takie szczegółowe rozgraniczenie mamy też na mapie Stefana Ramułta, dodanej do jego „Statystyki ludności kaszubskiej“, oraz w pracy „O gwarach Prus Zachodnich“ prof. Kazimie-

rza Nitscha, gdzie znajdujemy miejscowe wyliczenia krańcowych miejscowości, których ludność zaliczyć należy do Kaszubów. Często język tych miejscowości różni się od sąsiednich polskich tylko akcentem, który u południowych Kaszubów spoczywa na pierwszej zgłosce, a w polskim jak wiadomo na przedostatniej. Nie wdając się tu jednak w tak drobiazgowe roztrząsanie tej kwestyi, możemy sobie granicę polsko-kaszubską przedstawić jako linię biegnącą od Gdańska w kierunku południowo-zachodnim ku miastu Chojnicom w powiecie tejże nazwy, a w regencyi Kwidzyńskiej. Linia ta jednak nie dochodzi do samych Chojnic, lecz o kilkanaście kilometrów na północ od nich koło wsi Męcikoł, skręca na zachód do granicy prowincyi pomorskiej mniej więcej biegiem górnej Brdy. Obszar objęty tą linią od wschodu i południa, granicą prowincyi pomorskiej od zachodu, a od północy i północnego wschodu oblany falami Bałtyku jest właściwą Kaszubszczyzną, t. zn., iż cała prawie ludność polska, zwłaszcza osiadła na wsi, posługuje się mową kaszubską. Terytoryum kaszubskie w obrębie prowincyi zachodnio-pruskiej zajmuje około 5000 kilometrów kwadratowych. Przestrzeń ta obejmuje powiaty: pucki, wejherowski, niewielki kawałek gdańskiego-górskiego, zresztą poza tem przeważnie zniemczonego, miasto Gdańsk także tu wliczamy, bo choć jest ono właściwie prawie czysto niemieckie, to jednak zawsze tam żyje parę tysięcy Kaszubów, jako ludność przeważnie wyrobnicza, dalej powiat kartuski, większa część (zachodnia) kościerskiego, mniej więcej połowa chojnickiego, i północno-wschodni kąt człuchowskiego. Dołączyć tu jeszcze należy terytoryum kaszubskie w prowincyi pomorskiej, a mianowicie kilkanaście niezniemczonych dotąd miejscowości powiatu bytowskiego, graniczących z powiatami kościerskim i człuchowskim, oraz jedna miejscowość na północy, w powiecie lęborskim.

W wymienionych tu powiatach Prus Zachodnich, względnie w częściach powiatów posiadających ludność koszubską, mieszkało w roku 1910 ogółem ludności przeszło 400 tysięcy, a licząc bez miasta Gdańska około ćwierć miliona. Wśród tej ludności statystyka z r. 1910 zalicza do rubryki języka polskiego lub kaszubskiego i do obydwóch kategoryi 2-językcznych razem osób 153.219, a odliczywszy Gdańsk 147.738, czyli, że ludność polsko-kaszubska stanowi na terytoryum rdzennie kaszubskiem około 59%.

Cyfry te udało się uzyskać w sposób następujący. Trzy powiaty północno-kaszubskie, t. j. pucki, wejherowski i kartuski w całości wchodzą w skład terytoryum kaszubskiego, tutaj więc liczbę ludności polsko-kaszubskiej wprost podaje statystyka urzędowa. Wynosi ona: 99.779 osób. W powiecie gdańskim górskim północna część po rzeczkę Radunię należy do obszaru językowego kaszubskiego, na południe od Raduni ludność polska, o ile się ostała przed germanizacyą, posługuje się gwarą kociewską. Stanowi ona jednak tylko w dwóch gminach większość, a w kilku nieco pokaźniejsze mniejszości, razem około 200 głów, a że cały powiat liczy ludności polskiej i kaszubskiej wraz z 2-języczną 6069 osób, przeto na część kaszubską powiatu pozostaje 5369 Polako-Koszubów.

Do obliczenia zaś siły liczebnej ludności polskiej w kaszubskich częściach powiatów kościerskiego, chojnickiego i człuchowskiego, tworzących południową Kaszubszczyznę, pomocna być może praca p. t. „Ilu Kaszubów jest na Kaszubach“, zamieszczona w nr. 8 z r. 1909 czasopisma „Gryf“. Autor owej pracy na podstawie map Ramułta i dra Nitscha wydziela z wymienionych 3 powiatów terytorya kaszubskie i oblicza żyjącą tam ludność polsko-kaszubską. Obliczenia te opierają się na spisie ludności z r. 1905, i nie uwzględniają wcale zapisanych do rubryki 2-języcznych. Dlatego należy cyfry tam podane uzupełnić liczbą 2-języcznych, która na część kaszubską każdego z poszczególnych powiatów wypada. Chcąc zaś otrzymać liczby dla roku 1910, trzeba przyjąć taki przyrost procentowy, jaki był faktycznie wśród ludności polskiej danego powiatu w okresie lat 1905—1910. Spółczynnik ten wynosi dla powiatu kościerskieg o 6·8%, dla chojnickiego 7·7%, dla człuchowskiego 3%. Dokonawszy tego obliczenia, przekonamy się, że ludność polska kaszubskiej części powiatu kościerskiego wzrosła od r. 1905 do 1910 o 950 głów, t. j. z 13.970 na 14.920; chojnickiego o 1.350, t. j. z 17.556 na 18.907; człuchowskiego zaś o 269 głów, a mianowicie z 8.988 na 9.257. Razem więc na Kaszubszczyźnie południowej wzrosła ludność polska w ciągu tych pięciu lat z 40.514 na 43.084 osób, czyli o 6·34%.

Dla porównania i obliczenia wzrostu względnego warto przytoczyć odnośne cyfry całej regencyi Kwidzyńskiej, w skład której wchodzi ⅔ terytoryum Kaszub południowych. Wzrost całej ludności tej regencyi w temże samem pięcioleciu wynosił 2·94%, samej zaś ludności polskiej 3·40%. Widać z tego, że polszczyzna silniej wzrasta w południowo-kaszubskich powiatach niż w innych. W trzech zaś powiatach północno-kaszubskich, wchodzących w całości w skład terytoryum kaszubskiego, oraz w północnej części powiatu gdańskiego-górskiego, ludność polsko-kaszubska podniosła się z 101.355 na 105.148, t. j. zaledwie o 3·74%, gdy równocześnie cała ludność regencyi gdańskiej, do której należą te powiaty powiększyła się o 4·69%, a ludność polska o 6·04%. Na północnej więc Kaszubszczyźnie polskość wzrasta słabiej niż w innych powiatach Prus Zachodnich. Jeśli wreszcie zesumujemy całe terytoryum kaszubskie, to zobaczymy, że ludność polska wynosiła w r. 1905: 142.569 głów, w r. zaś 1910: 148.232, t. zn. wzrosła o 4·48%. Równocześnie w tym samym czasie cała ludność prowincyi zachodnio-pruskiej wzrosła o 3·69%, ludność zaś polska o 4·29%.

Przypuściwszy, że ludność polska na Kaszubszczyźnie wzrosła od r. 1910 w tem samem tempie, co w poprzednich 5 latach, t. j. rocznie średnio o 0·79%, to w r. 1914 wynosi ona na terytoryum czysto koszubskiem Prus Zachodnich około 154.000 głów. Doliczywszy do tego Polaków mieszkających w Gdańsku, których liczba według spisu ludności z r. 1910 wynosiła 5.481 (w tem 1.895 dwu-językcznych), a obecnie, t. j. w r. 1914 uwzględniając roczny przyrost 1·4% wynosić powinna około 5.800,

otrzymamy razem około 160.000 ludności polskiej na obszarze językowym kaszubskim prowincyi zachodnio-pruskiej.

Terytoryum kaszubskie ciągnie się wązkim, a długim na 120 kil. pasem z południa na północ, gdzie przypiera do morza. Polsko-kaszubskich miejscowości nadmorskich jest zaledwie dwadzieścia kilka. Biegną one nieprzerwanym pasem brzegiem t. zw. Małego Morza, czyli zatoki gdańskiej od Sopot do Pucka (sam Puck jest silnie zniemczony), a następnie do Wielkiej Wsi, gdzie zaczyna się już pełny Bałtyk, czyli według tamtejszej terminologii Wielkie Morze. Kilka tylko wsi kaszubskich dotyka Wielkiego Morza. Na zachodzie w całej swojej długości graniczy Kaszubszczyzna z prowincyą pomorską.

Granicznymi powiatami pomorskimi są na północy lęborski na południu bytowski. Oba nominalnie należały do Polski od r. 1466, faktycznie zaś tylko przez 20 lat (1637—1657).

Na całem Pomorzu Zachodniem do zniemczenia ludności tubylczej przyczyniła się protestantyzacya tego kraju. W dwu wymienionych powiatach, podczas ich 20-letniej przynależności do Polski, nastąpiła częściowa restytucya katolicyzmu, dlatego i dziś, zwłaszcza w powiecie bytowskim pewien odsetek ludności jest katolicki, wskutek czego przechował się tam gdzieniegdzie żywioł kaszubski związany ściśle z katolicyzmem. W powiecie bytowskim istnieje jeszcze kilkanaście miejscowości, które zachowały charakter kaszubski, w powiecie lęborskim zaś tylko jedna. Prócz tego Kaszubi rozsypani po całem terytoryum tych powiatów znajdują się na folwarkach w charakterze robotników rolnych. Wogóle ludność polska tych powiatów w ostatnich czasach szybko wzrasta, zdaje się dzięki imigracyi z Prus Zachodnich. Wzrost procentowy Polaków w okresie 1867—1900 wynosił rocznie stale 2% lub nawet nieco więcej. Wskutek tego odsetek 13·1% jaki Polacy stanowili w r. 1890 w powiecie bytowskim podniósł się w r. 1900 już na 14·5%, w lęborskim z 5·0% na 5·3%. Można więc przyjąć, że liczba Polaków i Kaszubów, która w obu tych powiatach w r. 1900 wynosiła 6.220, w r. 1914 z doliczeniem paruset Kaszubów mieszkających w powiecie Słupskim, który na niewielkiej przestrzeni również przytyka do Prus Zachodnich, urosła do r. 1914 na przeszło 8 tysięcy głów.

Dodawszy liczbę tę do 160.000 ludności polsko-kaszubskiej terytoryum kaszubskiego w Prusach Zachodnich, otrzymamy razem około 168 tysięcy Polaków obszaru językowego kaszubskiego po obu stronach dawnej zachodniej granicy Polski. Gdy z liczby tej odliczymy 8% na Polaków nie-kaszubskiego pochodzenia, pozostanie 154.000 rdzennych Kaszubów mieszkających na własnem terytoryum, przeważnie skupionych, a więc mających warunki zachowania języka i odrębności szczepowych.

Na zachodnim krańcu powiatu lęborskiego istnieją szczątki Kaszubów protestanckich mieszkających nad jeziorem Łebskiem, zwanych Kabatkami i również nad tem samem jeziorem, ale po drugiej stronie rzeki Leby istnieją jeszcze w kilku wsiach ślady kaszubskiego szczepu Słowińców. Oddzieleni od terytoryum kaszubskiego całą szerokością już zupełnie zniemczałego powiatu lęborskiego, ulegli zupełnej germanizacyi. Na początku 19-go wieku zajmowali oni jeszcze w powiecie słupskim i lęborskim znaczny obszar. Mowa kaszubska rozbrzmiewała tam jeszcze w kilkunastu wsiach. Obszar ten jednak z roku na rok szybko się kurczył. Nabożeństwa kaszubskie jakie się odbywały w niektórych zborach protestanckich jeszcze w 18-tym wieku, poczęto znosić jedno po drugiem. W ten więc sposób kościół i duchowieństwo protestanckie dokonało zniszczenia szczepu Słowińców i sąsiadujących z nimi Kabatków, czyli Kaszubów w zachodniej części powiatu lęborskiego. O Słowińcach, ich języku i procesie germanizacyi szybko wśród nich postępującym istnieje cała literatura tak w języku polskim jak niemieckim i rosyjskim. Uczeni i badacze Polacy, Niemcy i Rosyanie wielokrotnie w ciągu 19-go i jeszcze na początku 20-go wieku starali się z ust ludu tamtejszego zebrać ostatnie wyrazy gasnącego języka i zużytkować je dla celów naukowych. Z ich relacyi możemy zdać sobie sprawę z jak szaloną szybkością postępowała zatrata języka u tej garstki najdalej na zachód rzuconych, od wszystkich zapomnianych Polaków. Dziś spotyka się tam już tylko nieliczne jednostki, i to wśród najstarszego pokolenia, władające jeszcze językiem kaszubsko-słowińskim i zachowujących wspomnienie z czasów, gdy język ten nie był w tamtych stronach rzadkością.

Niebezpieczeństwo germanizacyi było i jest na Kaszubach większe niż w jakiejkolwiek innej dzielnicy Polski. Kraj ten od wieków wystawiony na wpływy niemieckie, od początku XIV w. kolonizowany przez Krzyżaków, którzy zdołali zgermanizować Gdańsk i inne miasta, odpadł od Polski już podczas pierwszego rozbioru i wskutek tego dłużej niż jakakolwiek inna prowincya polska podlega systematycznemu działaniu rządu pruskiego dążącemu do wynarodowienia ludności.

A i za czasów polskich wpływy niemczyzny nie były zupełnie unicestwione. Przedewszystkiem sam Gdańsk wywierał na okolicę w szerokim promieniu wpływ germanizacyjny. Skutki jego widzimy dziś doskonale. Powiat gdański górski zniemczony jest w $^{9}/_{10}$ częściach, mimo, że większość ludności jest katolicka, a więc pochodzenia polskiego. Żuława zaś gdańska położona między Motławą i Wisłą, posiadłość miasta samego, jest dziś krajem rdzennie niemieckim. Drugiem silnem ogniskiem niemczyzny był klasztor Cystersów w Oliwie, który niejednokrotnie sprowadzał do swoich posiadłości jako kolonistów Niemców — protestantów. Również nieraz kolonistów niemieckich sprowadzali i starostowie polscy. Ognisk kultury polskiej było tu mniej niż gdziekolwiekbądź indziej w Polsce, gdyż miasta były od dawna zniemczone, a szlachta wobec istnienia wielkich królewszczyzn i dóbr duchownych oraz z powodu małej urodzajności ziemi mniej liczna. Część zresztą tej szlachty pochodzącej jeszcze z czasów krzyżackich była niemiecką i taką z niewielu wyjątkami pozo-

stała aż do upadku Polski. Polska większa własność szybko topniała w XIX w. i dziś zaledwie $1/_{10}$ część jej pozostała w posiadaniu Polaków. W powiecie puckim ostatnia większa posiadłość polska przeszła w ręce niemieckie w r. 1911.

Samo położenie Kaszub nadzwyczaj jest niekorzystne i utrudnia obronę polskości tego kraju. Na wielkiej przestrzeni środkowa zwłaszcza ich część z dwóch stron, od zachodu i od wschodu, styka się z terytoryum etnograficznie niemieckiem. Tylko północną część Kaszubszczyzny morze chroni od północy i wschodu, tu jednak z tem większą siłą niemczyzna wdziera się od zachodu i zachodnie krańce powiatów puckiego i wejherowskiego uległy częściowej germanizacyi.

Komisya kolonizacyjna słabą tylko na Kaszubszczyźnie rozwijała działalność i to ograniczając się prawie wyłącznie do powiatów południowo-kaszubskich, gdyż mało urodzajna ziemia nie może stać się przynętą dla wielkiej liczby kolonistów niemieckich. Wspomniawszy tu o Komisyi kolonizacyjnej trzeba zaznaczyć, iż ostatnie przefrymarczenie ziemi polskiej w ręce Komisyi, jakiego dokonał w maju 1914 r. niejaki Górski, właściciel około 2 tysięcy morgów wynoszącej posiadłości we wsi Stężycy w południowej części powiatu kartuskiego, ma niemałe a bolesne znaczenie dla sprawy polskiej na Kaszubach. Wieś ta bowiem jako jedna z największych w powiecie, posiadająca parafię katolicką, a także ewangelicką, urząd okręgowy i urząd stanu tworzy dla wiejskiej okolicy pewnego rodzaju centrum administracyjne a zapewne i kulturalne. Prócz tego leży ona tuż przy samym wierzchołku szerokiego klinu niemieckiego wciskającego się od wschodu głęboko w powiaty kartuski i kościerski i na wielkiej przestrzeni rozdzielającego Kaszubszczyznę północną od południowej. Sama zaś Stężyca jest wsią b. polską (liczy zaledwie 60 Niemców na 800 przeszło mieszkańców). Do parafii jej należą miejscowości tak polskie jak n. p. Żuromin nie posiadający ani jednego Niemca. Dziś stosunki te ulegną zmianie na niekorzyść żywiołu polskiego, gdy Komisya na zakupionym obszarze osadzi kilkanaście lub więcej rodzin kolonistów niemieckich, a klin niemiecki posunie się znów nieco na wschód.

Natomiast w latach ostatnich wielkie obszary ziemi przeszły z rąk kaszubskich do t. zw. fiskusu leśnego. Rząd pruski na wielką skalę prowadzi gospodarkę leśną i w tym celu nabywa pewne przestrzenie, by je następnie zalesić. Ale i przy tej sposobności nie zaniedbał on, by tę działalność pozornie czysto gospodarczą połączyć z akcyą antypolską. Fiskus leśny nabytki swoje czyni bowiem przeważnie w dzielnicach polskich. Na 300 tysięcy bez mała hektarów, które fiskus leśny nabył w okresie 1867—1905 roku, przypada około 175.000 ha na W. Ks. Poznańskie i Prusy Zachodnie. Otóż, jak stwierdza „Gryf“ z r. 1910 w artykule „Zielony wywłaszczyciel“, z tej liczby zakupił fiskus leśny 31755 ha w regencyi gdańskiej a więc przeważnie w rdzennej Kaszubszczyźnie. Największe wyrwy porobił on zwłaszcza w powiatach kartuskim i kościerskim, gdzie zakupił i zalesił kilkanaście folwarków, usuwając w ten sposób ze znacznej przestrzeni ludność kaszubską, a sprowadził pewną ilość leśniczych i urzędników do administrowania lasem, rozumie się Niemców. Społeczeństwo polskie zdaje się nie spostrzegać niebezpieczeństwa, jakie z tej strony mu zagraża i żadnej jak dotąd akcyi nie zapoczątkowało, którąby przeciwdziałać mogła skutecznie kurczeniu terytoryum polskiego przez „Zielonego wywłaszczyciela“ jak trafnie przezwano fiskus leśny, oraz nie piętnuje wyzbywania ziemi na rzecz tegoż fiskusu na równi ze sprzedażą Komisyi kolonizacyjnej.

Rząd pruski nie ogranicza się na Kaszubach do środków wynarodowienia stosowanych w innych dzielnicach polskich, lecz intenzywniej niż gdziekolwiekbądź stosuje tu germanizacyę przez kościół. Zadanie to łatwiejsze tu niż gdzieindziej np. w Poznańskiem, gdyż Kaszuby należą do dyecezyi chełmińskiej rządzonej przez biskupów rezydujących w Pelplinie, z reguły Niemców, którzy też idą na rękę rządowi i nie wahają się używać kościoła dla celów germanizacyi ludności polsko-kaszubskiej, która stanowi ogromną większość wśród katolików tej dyecezyi. Świeżo mamy w pamięci skazanie przed paru tygodniami na kary więzienia i grzywny kilku Polaków ze wsi Kłodawy, za to, że sprzeciwiali się wprowadzeniu do tamtejszego kościoła języka niemieckiego i pieśnią polską starali się zagłuszyć śpiew niemiecki. Faktów podobnych przytoczyćby można z łatwością o wiele więcej, zwłaszcza, że rząd pruski uważając Kaszubów za narodowość odrębną od polskiej pragnie, by język polski obcy rzekomo dla Kaszubów zastąpić w kościele niemieckim.

Ta dążność rządu pruskiego do oddzielenia Kaszubów od Polaków ujawnia się zwłaszcza przy spisach ludności, gdy Kaszubów zapisuje się do osobnej rubryki, Polaków do osobnej. Rozumie się, że cyfry w ten sposób uzyskane nie mają żadnej faktycznie wartości, gdyż jak poprzednio zaznaczyliśmy takie rozróżnienie narzeczowo-szczepowe może być dokonane tylko w drodze badań naukowych, niedostępnych rzecz jasna dla urzędników przeprowadzających spis ludności, a następnie jako reakcya ze strony polskiej występuje agitacya wśród ludności kaszubskiej, by ta zapisywała się tylko do rubryki języka polskiego. Agitacye te na południowej Kaszubszczyźnie cieszą się znacznem powodzeniem, jak również wśród ludności kaszubskiej osiadłej w miastach, a więc więcej oświeconej.

Praca polska ma przed sobą na Kaszubach duże pole działania po długich zaniedbaniach.

Kaszubi północni, bardziej odlegli od centrów kulturalnych Polski aż do lat ostatnich pozostawali prawie zupełnie obojętnymi na hasło narodowo-polskie, podczas gdy południowa Kaszubszczyzna prześcignęła ich pod tym względem o całe dziesiątki lat. Do odcięcia Kaszub północnych przyczynia się też duża różnica językowa. Wskutek całego szeregu zjawisk dźwiękowych istniejących tylko w Kaszubszczyźnie północnej, a przedewszystkiem wskutek akcentu ruchomego, odbija język

północnych Kaszub tak bardzo od południowego, że Kaszuba z południowych powiatów z daleko większą łatwością zrozumie np. chłopa z Wielkopolski aniżeli swego pobratymca z nad wybrzeża morskiego.

Jedynym objawem na zewnątrz solidaryzowania się Kaszubów północnych ze społeczeństwem polskiem, były wybory, przy których głosowali oni zawsze na kandydata polskiego. Czysto kaszubski okręg wyborczy pucho-wejherowsko-kartuski obejmujący całe północne Kaszuby stale wybiera znaczną większością głosów do Sejmu Rzeszy posła Polaka. Kaszubi południowi znajdują się w dwóch okręgach wyborczych a mianowicie w Kościersko-Starogardzko-Tczewskim i w Tucholsko-Chojnickim i tam swoimi głosami przeważają szalę na korzyść kandydata polskiego. Tak więc z pośród czterech posłów Polaków z Prus Zachodnich zasiadających w Sejmie Rzeszy trzech swoje mandaty zawdzięcza bądź w zupełności bądź częściowo głosom ludu kaszubskiego.

Wszystkie prawie polskie stowarzyszenia, instytucye ekonomiczne, banki i sklepy współdzielcze istniejące dziś w północno-kaszubskich powiatach są nabytkiem kilku ostatnich lat. Banków polskich liczyło w r. 1910 Pomorze Południowe 23, północne 11. Ruch spółkowy rozpoczął się na południu o 30 lat wcześniej niż na północy, gdzie prawie wszystkie banki powstały już w 20 wieku, gdy w r. 1910 na południowej Kaszubszczyźnie 1 deponent składający swoje oszczędności w bankach polskich przypadał na 14 Polaków, to na północy 1 deponent przypadał na 32 Polaków. Najskuteczniej może nad uświadomieniem ludu pracują na Kaszubach „Towarzystwa ludowe“ gęsto rozrzucone po miasteczkach i większych wsiach, a zorganizowane w Związek centralny. Pieśń polską upowszechniają liczne towarzystwa śpiewackie, łącząc tym węzłem kulturalnym Kaszuby z innemi dzielnicami Polski. Obecnie postępuje energiczna akcya zmierzająca do stworzenia jak największej liczby domów ludowych.

Powstałe w r. 1913 w Sopotach muzeum kaszubskie pozostaje pod opieką Towarzystwa „Młodokaszubów“ i już poszczycić się może pięknymi okazami zdobnictwa ludowego kaszubskiego i oryginalnych narzędzi gospodarczych do niedawna jeszcze używanych przez Kaszubów. Specyalnie powstałe „Towarzystwo przyjaciół muzeum kaszubskiego“, do którego mogą należeć i Polacy innych zaborów, ma zapewnić materyalną pomoc dla rozwijającego się muzeum.

Aż do ostatnich czasów lud kaszubski pozostawał bierną masą etnograficzną, nawpół tylko świadomie zeznającą swoją odrębność szczepową, związany z polszczyzną tylko przez kościół, w którym panuje dotąd język polski. Cała zaś inteligencya, która wychodziła z tego ludu, przechodziła w szeregi niemieckie, wstydząc się zazwyczaj swego pochodzenia kaszubskiego.

Dopiero przed niewielu laty garść młodzieży pochodzącej z Kaszubszczyzny, a zgrupowanej na jednym z uniwersytetów niemieckich, zdołała obudzić w sobie pełną świadomość narodową i utworzyła koło młodzieży polskiej kaszubskiego pochodzenia. Ta grupa ludzi doszedłszy następnie do stanowisk zawiązała towarzystwo „Młodokaszubów“.

Wychodząc z założenia, że zanim Kaszubi zaczną mówić tak jak w Warszawie, prędzej nauczą się mowy Berlina, podnieśli oni konieczność wykształcenia narzecza kaszubskiego, chcąc w ten sposób stworzyć z niego język literacki, a tem samem i skuteczną w ich mniemaniu zaporę dla germanizacyi, która szerzy się często dzięki temu, iż Kaszubi wstydzą się swego języka jako mniej wartościowego. Z tą myślą rozpoczęto też wydawać w listopadzie 1908 r. w Kościerzynie miesięcznik p. n. „Gryf“. Miał on być organem Młodokaszubów i stać się wyrazicielem ich idei, a zarazem informatorem społeczeństwa polskiego o sprawach i życiu Kaszub. Pozatem podjęli szereg wydawnictw w języku kaszubskim i co pewien czas urządzają zjazdy inteligencyi młodokaszubskiej, których treścią jest rozwijanie dalszego programu. O szerszych zamiarach świadczy także chwilowe — dziś zresztą już nie istniejące, — nawiązanie stosunków z „Gazetą Gdańską“, jedynem pismem polskiem wychodzącem na Kaszubszczyźnie. Żywotność wykazuje ten ruch w tem, iż obecna inteligencya młodokaszubska utrzymuje ścisły kontakt z młodzieżą kaszubską kształcącą się w gimnazyach i wyższych zakładach naukowych i chroni ją przed wynarodowieniem i renegactwem. To są dotychczasowe pozytywne strony działalności Młodokaszubów.

Bądź jak bądź ruch ten jak dotąd ogranicza się raczej do dziedziny teoryi i nie zdradza wielkiego życiowego napięcia. Cztery roczniki „Gryfa“, rzecz najbardziej konkretna w dorobku Młodokaszubów, dają nam szereg obrazów i wiadomości z przeszłości Kaszub, wiele cennych badań lingwistycznych nad językiem kaszubskim, wyczerpującą tak polską jak niemiecką bibliografię kaszubską, statystykę i artykuły treści ekonomicznej oraz programy i ideologię ruchu młodokaszubskiego. Poza tem znajdujemy tam bogaty materyał folklorystyczny w postaci oryginalnych bajek, podań i wierszy, zaczerpniętych z ust ludu przeważnie w południowej Kaszubszczyźnie, nakoniec zaś próby twórczości literackiej w języku kaszubskim. Te ostatnie są wyrazem usiłowań stworzenia literatury pięknej w narzeczu kaszubskiem. Obok tak bogatego materyału naukowego nie znajdujemy w „Gryfie“ charakterystyki życia dzisiejszego na Kaszubach na tle wypadków bieżących, co jedynie mogłoby świadczyć, że ruch młodokaszubski ma podstawy żywotne w samym ludzie, nad którego przyszłością ma pracować. Brak ten tem bardziej rzuca się w oczy, że „Gryf“ obiecywał informować społeczeństwo polskie o spółczesnem życiu Kaszub. I jeżeli upadek tego pisma po czteroletniem istnieniu był spowodowany brakiem poparcia ze strony całego naszego społeczeństwa, to bezwątpienia przyczyna leży i w tem, że „Gryf“ zapowiedzi swoich w tym względzie nie wypełniając, nie umiał wzbudzić odpowiedniego zainteresowania dla sprawy, której był poświęcony. Owszem zdarzało się nawet, że

mógł on nieraz zaniepokoić polską opinię publiczną poważnem dyskutowaniem oderwanych projektów, że wspomnimy na przykład zamiary sztucznego wzbogacenia języka kaszubskiego wyrazami zaczerpniętymi z języków rosyjskiego, czeskiego i innych słowiańskich, w dodatku z wyraźnem wykluczeniem polskiego. Projekt ten jako sztuczny i najzupełniej nierealny nie okazałby się zapewne groźnym w skutkach, a więc nie zasługuje na obszerniejszą dyskusyę i polemikę, świadczy jednak, że nieokreślone mrzonki o jakiejś jednolitej współczującej Słowiańszczyznie znajdują przystęp do umysłów młodokaszubskich działaczy.

Zarzuty jednak separatyzmu stawiane kilkakrotnie w prasie polskiej Młodokaszubom nie są uzasadnione, przeciwnie w szeregu artykułów programowych, jakie ukazały się w „Gryfie“, zaznaczali oni szczerze ścisłą łączność z całą Polską, przypominając testament Mściwoja II (1282), który to ostatni książę wschodnio-pomorski przewidziawszy niebezpieczeństwo niemieckie państwo swoje oddał Przemysławowi II Wielkopolskiemu i w ten sposób Pomorze z Polską zjednoczył. Testament Mściwoja jest według Młodokaszubów ich programem politycznym.

Młodokaszubi i ich program nie jest dotychczas jak widzimy kierunkiem zupełnie określonym i dopiero przyszłość okaże, czy będą oni mogli zaważyć w życiu kresów nadbałtyckich. W każdym razie ten początek jaki zrobili zaznaczył się chociażby szerszą dyskusyą o naszej dzielnicy nadbałtyckiej.

Dobrzeby było, ażeby Rada Narodowa zaboru pruskiego, w której zakresie działalności leży bezpośrednie zajęcie się sprawą kresów i która już wedle komunikatu z 10 lutego 1914 o tem pomyślała, skorzystała z istnienia grupy inteligencyi, zorganizowanej w stowarzyszeniu Młodokaszubów. *Tadeusz Dubiecki.*

Wiadomości polityczne.

Nowy wielkorządca Królestwa.

Po śmierci gen. Skałłona rozpuszczono w telegramach z Petersburga, drukowanych w ugodowych pismach warszawskich wiadomości, że nastąpią ważne zmiany, bo postanowiono oddzielić władzę wojskową od władzy cywilnej, że przedstawiciel rządu cywilnego otrzyma daleko idące pełnomocnictwa. Później zjawiła się nowina, że utworzone będzie namiestnictwo, wymieniano osobę jednego z wielkich książąt, który obejmuje to historyczne stanowisko.

Tymczasem zwyczajnym generał-gubernatorem warszawskim mianowany został generał Żyliński, szef sztabu generalnego armii rosyjskiej. Zostaliśmy wyróżnieni, ale w sposób bardzo specyalny. Zrozumiano w Petersburgu, że jesteśmy najodpowiedniejszym posterunkiem dla szefa sztabu.

Żyliński nominacyę swoją zawdzięcza okoliczności następującej. Jak wiadomo, przed kilku laty w Petersburgu zapanowała opinia, że Królestwo Polskie w razie konfliktu z państwami sąsiedniemi obronić się nie da, że na skutek niekorzystnego położenia geograficznego armia rosyjska może być łatwo odcięta przez oddziały nieprzyjacielskie, któreby zaatakowały ją z jednej strony od guberni Suwalskiej i Łomżyńskiej, z drugiej zaś strony — od krańców guberni Lubelskiej. Uchwalono więc, że należy zburzyć fortyfikacye Warszawy, Modlinia i Dęblina (t. zw. Iwangrodu), które pochłonęły miliony i miliony wydatków, zaś rozpocząć na nowo gwałtowne fortyfikowanie linii Niemna i Bugu czyli zachodniej granicy kraju zabranego. Tak się też stało, fortyfikacye Królestwa skazane zostały na zagładę. W owej epoce opierał się tym projektom generał Żyliński i zwalczał, jak mógł, zamiary oddawania na pastwę Niemcom Królestwa, przyczem dowodził, że terytoryum to da się skutecznie obronić. Obecnie, gdy w Petersburgu ujawniły się rozliczne nici intryg niemieckich, a w ich liczbie i intrygi, skierowane ku przeprowadzeniu hasła skasowania fortec w Królestwie i gdy w Petersburgu zapanowało chwilowo coś nakształt kursu antyniemieckiego, wzmocniło się tem samem stanowisko tych, którzy chcieli stawiać skuteczny opór apetytom niemieckim. Zatem generał Żyliński zawdzięcza swe stanowisko przedewszystkiem temu, że jest wyznawcą polityki antyniemieckiej.

Jeśli zaś w kołach kamarylli dworskiej pokonał gen. Żyliński innych kandydatów, to wpłynęły może i pewne związki rodzinne. Mianowicie siostra żony obecnego wielkorządcy wyszła za mąż za księcia Jussupowa. Na możny ród ten niedawno spłynął taki splendor, że jedna z wielkich księżniczek uzyskała najwyższe zezwolenie na poślubienie księcia Jussupowa. Tą więc drogą wzrosły wpływy generała Żylińskiego wśród sfer kamarylli dworskiej.

A trzeba było chyba silnych wpływów, aby gen. Żyliński mógł wrócić do Królestwa na naczelne stanowisko, skoro musiał je dawniej opuścić z powodu spraw głośnych.

Jest to człowiek, który nie umie panować nad sobą. Dawniej już, w Rosyi, zastrzelił w uniesieniu kolegę oficera. Gdy zaś w okresie stanu wojennego został gubernatorem w Kielcach, zdarzyło się, że odbiegła go przyjaciółka lekkich obyczajów, a on wówczas pojechał za nią do Warszawy i w biały dzień na ulicy Sadowej zastrzelił ją.

Trzeba na to Rosyi, aby po czemś takiem wrócić do tego samego miasta na stanowisko naczelnika kraju.

Polacy w armii pruskiej,

Podczas toczących się obecnie obrad budżetowych w Reichstagu berlińskim, przy etacie ministerstwa wojny zabierali głos posłowie polscy, pos. Dombek d. 5 maja i pos. Trąmpczyński d. 8 maja. Przemówienia te rzuciły snop światła do wnętrza koszar pruskich i wykazały, że i w tej dziedzinie życia państwowego Prus panoszy się nienawiść ku Polakom i że tam już dotarły wpływy hakatystów o hasło: ausrotten znalazło wyznawców. Zbytecznem jest zastanawiać się nad tem, czy wprowadzanie do koszar polityki w ogólności, a nienawiści do współobywateli w szczególno-

ści, leży w interesie armii, a dalej czy wyjdzie na dobro Prus, gdy po paru latach znęcań się i prześladowań, doznawanych od oficerów i podoficerów pruskich, żołnierze-Polacy opuszczą szeregi z uczuciem nienawiści do tych, których bronić mają krwią własną. Ze względu na nasz interes narodowy nie mielibyśmy nic przeciw tej samobójczej polityce pruskich władz wojskowych. Tembardziej, że jest ona niezawodnem antidotum przeciw możliwości wynarodawiania chłopa naszego w armii pruskiej. Ale gdy się zważy, ile przecierpieć musi ten rekrut polski, nienawidzony, pogardzany, łżony, wyśmiewany i za byle co ciężko karany, ile znieść musi w milczeniu, nie mogąc przed nikim prześladowców zaskarżyć i znikąd nie mając obrony, wystawiony na nieustanne niebezpieczeństwo więzień, aresztów, degradacyi i t. p., to w tem rozważaniu przechyli szalę najprostsze ludzkie uczucie litości.

Walkę z polskością w armii pruskiej prowadzą nie tylko bezpośredni przełożeni. Prąd ten idzie także z góry z ministerstwa. Zajście z szeregowcem 156 pułku piechoty w Bytomiu, pociągniętym do odpowiedzialności za rozmowę po polsku z drugim żołnierzem-Polakiem, podczas czyszczenia rzeczy w koszarach, wykazało, że istnieje ogólny zakaz używania języka polskiego nawet poza służbą. Na zapytanie bowiem podoficera, czy nie zna zakazu rozmawiania po polsku odpowiedział żołnierz: Tak, w służbie, ale nie poza służbą. Za tę odpowiedź pociągnięto go do odpowiedzialności i sąd wojskowy w pierwszej instancyi skazał go za przekroczenie zakazu służbowego na 4 miesiące więzienia a druga instancya zmniejszyła tę karę do 29 dni aresztu. Na zażalenie wysłane do ministra nadeszła odpowiedź: Ogólnego zakazu używania języka polskiego niema, ale trzymać się należy tej zasady, że w służbie ogólnie a poza służbą w koszarach i w obecności przełożonych używać należy tylko języka niemieckiego. A więc ogólny zakaz nie istnieje, ale język polski jest zakazany po pierwsze w służbie, po drugie w koszarach i w obecności podoficera. A zatem wolno mówić żołnierzowi polskiemu po polsku tylko wtedy gdy go nikt nie słyszy! „Jeśli ktoś nie rozumie — mówił pos. Trąmpczyński — ile krzywdy mieści sią w zakazie językowym, tedy przypominam mu, że w domach karnych (cuchthauzach) uchodzi za najgorszą karę zakaz rozmowy przy pracy. Tymczasem żołnierz przez długie tygodnie nieraz nie może rozmówić się w języku ojczystym a językiem niemieckim nie włada. Minister wojny nie znalazł słowa, ani w piśmie, ani ustnie, uzasadnienia zakazu niesłychanego. Należy się trzymać zasady, oświadczył, — i basta! Według mojego zdania coprawda żaden frazes, żadne uzasadnienie nie mogłoby osłabić charakteru tego zakazu, jako moralnego męczenia żołnierzy“. A przypomnieć należy, że w Prusach żyją 4 miliony Polaków, że w armii pruskiej znajduje się 10 procent żołnierzy polskich, że zatem wobec 60.000 żołnierzy stosuje się ten nieludzki zakaz. Do czego on może doprowadzić, słusznie wywodził pos. Dombek: „Lazaret też należy do koszar resp. jest budynkiem fiskusa wojskowgeo. Chciałbym skonstruować przypadek, który może wydarzyć się bardzo często. Żołnierz polski leży chory w lazarecie, odwiedzają go rodzice. Czy i wówczas chory może na śmierć żołnierz nie ma mieć prawa rozmówić się z rodzicami w języku ojczystym? Stoi przecież przy nich podoficer sanitarny lub kapral jego przełożony? Jeśli zastosuje się tutaj zasadę ministeryum wojny, to chory na śmierć żołnierz nie może się nawet z rodzicami rozmówić“.

Ale wroga postawa ministerstwa względem Polaków nie ogranicza się tylko do rugowania języka polskiego. Na wynarodowienie i protestantyzacyę żołnierzy-Polaków obliczone jest przedewszystkiem rozsyłanie rekrutów polskich jak najdalej od stron ojczystych. A i ci, którzy zostaną przydzieleni do pułków w kraju konsystujących, coraz częściej są pozbawieni duchowej opieki katolickiej. Garnizony które mają kapelanów mówiących po polsku są objawem coraz rzadszym. Zresztą odkomenderowanie żołnierzy do kościoła odbywa się „w obecności przełożonych“ i uważa się je „za spełnianie służby“ a więc i nabożeństwa polskie pod ogólny zakaz są pociągane. Nawet korespondencya żołnierzy z rodziną, nie tylko jest kontrolowana i listy otwierane ale często się do niej nie dopusza wcale, bo jest prowadzona w języku polskim. Pos. Trąmpczyński pokazywał w Reichstagu kartę pocztową wysłaną do pewnego żołnierza 7 kompanii pułku 16 w Mühlheim a przez tę kompanię nie doręczoną, lecz odesłaną z dopiskiem: „Przyjęcie wzbronione, ponieważ po polsku napisana. Kapitan X...“

Jak tam w administracyi wojskowej liczą się z każdem żądaniem hakatystów, dowodzi fakt bojkotowania przez armię kupców polskich, przytoczony przez pos. Dombka. D. 14 grudnia 1912 główny zarząd Ostmarkenvereinu zwrócił się do ministerstwa wojny z żądaniem gospodarczego bojkotowania Polaków, t. j. kupców, oberżystów i dostawców polskich. Już d. 3 lutego 1913 minister wojny, poprzednik obecnego, osławiony p. von Einem, wysłał cyrkularz do komend generalnych z nakazem bojkotu dostawców polskich i żądaniem przedłożenia sprawozdań o narodowości dostawców, a w kilka dni później komendy wydały podwładnym nakaz bojkotu.

Wszystkie te fakty, poparte dowodami i dokumentami, zostały przedstawione w Reichstagu. Z ław wolnomyślnych i socyalistycznych zrywały się raz wraz okrzyki oburzenia. Obecny był także minister wojny v. Falkenhayn, mający inną opinię, niż jego poprzednik. Ale najlepsze jego chęci niewiele wskórają przeciw potężnym wpływom bractwa trzech liter.

Kronika.

Z zaboru austryackiego.

W sprawie emigracyi. Dnia 5 b. m. odbyło prezydyum Koła Polskiego naradę pod przewodnictwem hr. Stürgkha z ministrami spraw wewnętrznych i obrony krajowej tudzież kierownikiem ministerstwa galicyjskiego nad utrudnieniami emigracyjnemi czynionemi przez władze w Galicyi. Ministrowie złożyli wyjaśnienie, iż kontrolę rozciągnięto nad mężczyznami od 17 do 36 roku życia ze względu

na służbę wojskową nadto przyrzekli różne ułatwienia jak dla wychodźców sezonowych rezerwistów, uwolnionych z wojska i t. d.

Pożyczka galicyjska. Jak doniosły pisma codzienne, 80-milionowa pożyczka krajowa została wreszcie zawarta i wypłacona w kwocie 50 milionów, stanowiącej pożyczkę definitywną na pozostałe zaś 30 milionów konsorcyum, jak wiadomo, wzięło opcyę, zależną w wykonaniu od powodzenia publicznej subskrypcyi. Ponieważ do 30 kwietnia nie nadano tej pożyczce pupilarności, groziło niebezpieczeństwo, że zgodnie z umową konsorcyum albo zrzuci się z zobowiązania albo zażąda nowych wielkich ustępstw procentowych. Uzyskano jednak dnia 1 maja ogłoszenie rozporządzenia cesarskiego i skończyło się podobno tylko ną ustępstwach formalnych.

3 maja. Dorocznym zwyczajem odbyły się w całym kraju obchody ku czci Konstytucyi Majowej. Imponujący był obchód w Orłowej, pierwszy tego rodzaju obchód na Śląsku. Z całego zagłębia przybyło na podwórzec gimnazyum polskiego blizko 6 tysięcy robotników i rolników polskich. Zebrani odbyli jednocześnie wiec oświatowy, na którym uchwalono żądać od Koła polskiego wyjednania u rządu upaństwowienia gimnazyum orłowskiego. Zapewne i ta uchwała będzie miała taki sam skutek, jak wszystkie poprzednie: Koło Polskie przyjmie ją do wiadomości a prezes wypowie szereg komplimentów pod adresem „budzącego się“ Śląska.

Z zaboru rosyjskiego.

Koło Polskie. D. 9 b. m. Koło Polskie w Dumie głosowało zgodnie ze „zwyczajem“ przyjętym w latach poprzednich za przejściem do szczegółowego czytania budżetu państwowego. Jedynie tylko posłowie A. Parczewski i M. Łempicki, nie należący do stronnictwa dem.-narodowego, opuścili podczas głosowania salę. Jak wiadomo regulamin Koła pozwala członkom opuszczenie sali, nie pozwala zaś głosowania wbrew uchwale Koła.

Rusyfikacya Chełmszczyzny. Ministerstwo spraw wewn. wniosło do rady ministrów memoryał o konieczności dalszego przerabiania Ziemi Chełmskiej na kraj rosyjski. A więc „dla utrwalenia w poczuciu ludności miejscowej znaczenia jęz. rosyjskiego, jako zasadniczej cechy naszej państwowości w celu owocniejszej walki z polonizacyą“ zaprojektowano zmienić wszystkie nierosyjskie nazwy geograficzne i etnograficzne. Dalej księgi i korespondencyę pryw. towarzystw postanowiono prowadzić jedynie w jęz. rosyjskim. Ponieważ ruszczeniu Chełmszczyzny stoi na zawadzie działalność polskich stowarzyszeń kulturalno-oświatowych, zatem do ustawy o stowarzyszeniach należy wprowadzić poprawkę, że towarzystwa, które są zarejestrowane w Królestwie lub w Krajach Zabranych, muszą jednak podlegać nowej rejestracyi w komisyi chełmskiej, o ile na nową gubernię przenoszą swa działalność. Następnie uznano za konieczne podnieść „powagę“ naczelników powiatowych przez obsadzanie tych urzędów ludźmi z wyższem wykształceniem i (dla położenia kresu łapówkom) podnieść ich uposażenie. Wkońcu ministerstwo występuje przeciw wprowadzeniu w kraju ziemstwa „albowiem sprzyjałoby toześrodkowaniu całej gospodarki ziemskiej w rękach polskich“ i zgadza się albo na ziemstwo „margarynowe“ z nominacyi z r. 1903 albo stołypinowskie z r. 1911, żąda natomiast wydania prawa o nakładaniu kar za nauczanie tajne „wrogie państwowości rosyjskiej“.

Tajne nauczanie na Litwie. Korespondent „K. Litewskiego“ z Bielska w gub. Grodzieńskiej opisuje opłakane stosunki panujące w powiecie, zamieszkałym zwartą masą przez Polaków. Wojna przeciw „tajnym szkołom polskim“, jaką z niezwykłą energią prowadzi gubernator grodzieński, nie ustaje ani na chwilę. Administracyjne kary spadają jak grad na głowy nauczycieli i rodziców, posyłających dzieci dla nauczania początków czytania i pisania po polsku i po rosyjsku, oraz katechizmu. Przytem w szkołach rządowych początkowych i średnich niema wcale wykładów religii, gdyż naznaczeni przez władzę dyecezyalną kapelani nie są zatwierdzani na tem stanowisku przez dyrekcyę. W powiecie bielskim katolicy przeważnie należą do polskiej szlachty, są Polakami, mówiącymi poprawnie po polsku nieco z mazurska, na liście wyborców do Dumy zapisani są jako polskiego pochodzenia, a pomimo to w szkołach nie mają możności słuchać wykładów religii w języku polskim. Gdy zaś katolicy z własnej inicyatywy, wstydząc się analfabetyzmu, zgodzą jaką osobę ledwie czytać i pisać umiejącą i trochę rachunków do nauki dzieci, co zimą odciąga je od próżnowania i swawoli na ulicy, to wnet bywają ścigani przez policyę i zamykani w więzieniu. Tej zimy połów „polskich szkółek“ był nadzwyczaj obfity.

Z Łukowa. W tych dniach opuszczał dotychczasowe swoje stanowisko naczelnik powiatu Łukowskiego, Samardżi, przechodząc na stanowisko sztabsoficera przy gubernatorze chełmskim. Można sobie wyobrazić kim jest p. Samardżi, jeżeli go awansowano na to stanowisko do Chełma, jednakże znaleźli się polacy, którzy, będąc zupełnie zresztą niezależni od naczelnika powiatu, postanowili wręczyć drogocenny dar pamiątkowy przyszłemu pomocnikowi gubernatora w zakresie gnębienia polszczyzny w sąsiednich z Łukowskiem ziemiach polskich. Zainicyowali zbieranie składek dr. Podoski z Łukowa i szwagier jego Lubowidzki. Ogółem zebrano około 2000 rb., kupując za to kryształy dla pana naczelnika powiatu. Większe ofiary na ten cel złożyli obywatele ziemscy: hr. Z ó ł t o w s k i z Kocka, C z y ż e w i c z z Domaszewnicy (szwagier prof. Barcewicza), J e r z y P o d o s k i z Jaraczewa i dr. P o d o s k i z Łukowa. Równocześnie zaznaczyć należy, że panowie ci nie dają nic na istniejące w Łukowskiem instytucye społeczne polskie. I na przykład jak nam wiadomo, szkoła handlowa w Łukowie ma 3000 rb. deficytu w tym roku. Miasto Łuków było zresztą jedynem, które wsławiło się tem, że z własnej inicyatywy wysłało deputacyę na pogrzeb jenerał-gubernatora Skałłona. Udział w zaszczytnej tej deputacyi brali znowu Polacy: pp. Lubowidzki, burmistrz Różycki i prezes kasy pożyczkowo-oszczędnościowej Wegner.

Z Chełmszczyzny. W obrębie obecnej guberni Chełmskiej z rozporządzenia władz administracyjnych zamknięto w tych dniach wszystkie ochronki.

Z zaporu pruskiego.

Wybory. Ogłoszono urzędowy wynik wyborów do Reichstagu w Świeciu, gdzie jak wiadomo mandat Niemca Halema został unieważniony. W nowym wyborze zwyciężył znowu p. Halem i znowu z pomocą bezprzykładnych nadużyć. W przeciągu 2-ch lat okręg świecki stawał cztery razy do wyborów. Komitet polski zbiera dowody nadużyć i ma nadzieję, że ten jedyny w Europie okręg, stanie do wyborów jeszcze po raz 5-ty. Dwukrotnie wyrzucony z Reichstagu p. landrat Halem „naliczył“ sobie w ostatnich wyborach 8.490 głosów, p. Sas Jaworskiemu naliczono 7.282 i socyalistycznych 107 głosów. Poza nadużyciami wynik wyborów przypisać należy temu, że czas wyborów był dla nas niekorzystny z powodu sezonowej emigracyi Polaków na zachód. Odbić się to musiało tem bardziej, że okręg Świecki posiada małą przewagę polską: 44.780 Polaków, 42.333 Niemców i 1.003 dwujęzycznych.

Wydawcy:

Dr. Adam Skałkowski i Dr. Stanisław Stroński.

Redaktor odpowiedzialny:

Dr. Mieczysław Skałkowski.

Redakcya i administracya: Lwów, ul. Asnyka 1, tel. 18—93, ekspedycya ul. Murarska 55.

Drukarnia Jakubowskiego i Sp. we Lwowie, Piekarska 11.